

I/M14

Fragment relacji Dukowscy
w "Karcie" w 18, 1956

Teofil Lipka (relacja nagrana przez Jerzego Kułaka, do zbiorów Archiwum Wschodniego)

Mieszkaliśmy na kol. Radgosc [Radgoszcz Kolonia], obok była Radgosc Dwór, Radgosc (te wieś my nazywali Piaski) k. Śniadowa, pow. Ostrołęka, woj. warszawskie, a leżące obok nas Zalesie, Chomontowo, Uśnik już należało do woj. białostockiego. Nasza parafia to Kleczkowo, bo tam był kościół, a gmina Troszyn. Moi rodzice mieli 20 ha, które kupili od właściciela dworu Łuniewskiego, bo ten bawił się i pieniędzy potrzebował, to sprzedawał. To takich kolonistów jak ojciec było 10, co kupili ziemię od Łuniewskiego, średnio po 20 ha, tak że ten sprzedawał w ten sposób z połowe majątku. Kiedyś to wszyscy należeli do dworu, ale stopniowo, stopniowo wyprzedawał.

Ojciec chował 3 konie, 10 krów. To było już takie spore gospodarstwo. Obok było Wierzbowo, Uśnik, Chomentowo. Do samej Radgosczy było z 1,5 kilometra. Do Uśnika to ja do szkoły chodził. Przed wojną nie należałem do żadnych organizacji takich jak np. "Strzelec" czy inne.

U nas w łomżyńskim to organizacja narodowa, to była najsilniejsza. W Śniadowie to było same żydostwo. To raz pamiętam, w czwartek się najechało tych narodowców - ja jeszcze nie należał, bo był młody - to stragany Żydom rozwalali, bili tych Żydów, okna bili, ale u tych narodowców to też byli rozmaite - bił okna a przyszed wieczór, to poszed kupować u Żyda. Później ich łapali i jedne drugim wygadywali.

W 1939 r. miałem 17 lat, miałem trzech braci i cztery siostry, to jedna siostra była już za mężem w Głęboccu [Głęboocz]. Jak wybuchła wojna to na Kamienowie, zaraz za torem - tam był las - stała polska kawaleria i z Niemcami idącymi od Ostrołęki się bili. No i samolot taki psyleciał i zaraz za Radgoscio, na polu siedli. Kilometr od frontu. My, ja i kilku chłopaków, podlecieli do nich i żołnierze się pytają nas:

- Skąd wy.
- Stąd jesteśmy.
- Pomóżcie nam wepchnąć samolot między sterty [siana]. - My im wepchnęli, gałęziami nakryli i oni poszli do sztabu (stał w lesie w Kamienowie) i kazali nam tu poczekać. Widać jakoś wiadomość nieśli dla nich. Potem pszyśli, pomogliśmy im wypchać ten samolot, pożegnali się i poleciali.

Później my się zebrali, bo już mówio, że Niemcy ido od Ostrołęki tutaj, są pod Zalesiem

i uradziłem, że pójdziem z wojskiem, bo co mamy robić. Tam gdzie oni to i my. Powiedziałem tylko dla ojca i już. A rodzice powiedzieli:

- Jak majo was Niemce zabrać, to idźta, może jesce cofno ich. - I o jakiejś 11 wieczorem idzie wojsko. A to szedł 71 pułk piechoty od Grodna. Szli od Zalesia w stronę Śniadowa, na Czerwony Bór (tam ich potem rozbili). No i my wyszli do drogi iść z nimi. Jeden oficer jechał konno przed nimi, podjechał do nas, wyjął pistolet i pyta nas:

- Kto wy jesteście?

- Jesteśmy chłopcy z tych terenów.

- Cego tu chcecie?

- Chcemy iść z wojskiem, bo wojna. - Oficer odwrócił się i zatrzymał wojsko, bo zobaczył, że tu kupa chłopów stoi.

- Chodźcie, idziem. - I my idziem z nimi, z tymi żołnierzami i te żołnierze z tyłu mówio tak, jeden mówi do mnie:

- Ty, po co ty idziesz?

- No to co mam robić? Będę tu siedział, Niemcy przyjdą...

- A ty myślisz, że tam to będzie lepiej. Ja to muszę iść, bo ja wzięty do wojska, a ty idź do stodoły, wleź w słome i siedź. Tam pójdziesz, to możesz zginąć. - Tak sobie dumam: może on i prawdę powiedział i wróciłem się. A rano już tu Niemcy u nas. Krowe rano prowadziłem, to Niemcy jechali samochodem przez Radgosc. Patrzyli się na mnie, ale nic się nie odzywali.

Niemcy byli u nas krótko - jakiś tydzień albo dwa. Ja i nigdzie nie chodziłem, bo bałem się iść, żeby mnie nie złapali, siedziałem więc na kolonii. Wiem, że były takie wypadki jak złapali kogoś krótko ostrzyżonego, to znaczy, że żołnierz i zabierali takiego. Chyba kogoś ze Śniadowa wzięli, ale nie pamiętam tego dokładnie, bo to odległy czas. Niemcy zaraz zresztą odступili i przysli Ruskie.

Granica zrobiła się w Troszynie, za Kleczkowem w stronę Ostrołęki - kilkanaście kilometrów.

A za Ruskich to już było. Jeździli po koloniach na takich zaprzężonych w jednego konia wózkach. I bez przerwy były aresztowania. Z Marków aresztowali Jakackiego za udział w wojnie Piłsudskiego, mego brata, bo był na wojnie w 1939 r. W Konopkach miał dziewczynę. To tylko kurtkę założył cywilnie na mundur i poszedł do Śniadowa, ale tamte Żydy go znali, bo Śniadowo było od nas blisko i pokazali go widać, że on z wojska i tam go aresztowali.

To wtedy cały samochód ludzi aresztowali. Brat osądzony został w więzieniu, w Łomży, chyba na 8 lat i wywieziony na Kamczatkę, stamtąd trafił do armii Andersa i wrócił z Zachodu. Żyje jeszcze. Mieszka w Starogardzie Gdańskim.

Żydzi podawali nazwiska, Ruskie pisali, pisali i później łapali tych ludzi. To było musi w listopadzie 1939 r. Dużo ludzi aresztowali z Ratowa-Piotrowa. Taki Ogonowski stamtąd siedział. Trudno ich wyliczyć, bo tu bez przerwy byli aresztowania, bez przerwy. Śniadowo to było całe żydowskie, mało tu było ludzi [Polaków]. Gdzie tylko jakiś lepszy sklep to Żydzi mieli i za Ruskich rządili. Każdy młody dostał opaskę na rękę i karabin. Był taki jeden to mówił:

- Chcesz iść do kościoła, to ja ci rozstworzę kościół. - Taaak. Mówił, że to oni teraz rządzą.

Najbliższy posterunek milicji był w Śniadowie. Milicja to była żydowska, wszyscy ze Śniadowa. Było takich dwóch braci w tej milicji. Nazywali się Drzewko. Ich ojciec był krawcem.

Nie wiadomo co się z nimi stało. Może uciekli do Rosji.

To w Śniadowie aresztowania byli prawie co dzień. Jak pierwsze aresztowania zrobili, to już na jarmark taki mężczyzna w średnim wieku nie szedł, bo bał się aresztowania, zostawał w domu, ale oni i do domu przyjeżdżali i obtaczali, i brali, bo Żydzi już dali im na liście jakie ludzie przeciwne byli im. Najbardziej dawali się we znaki takie młode żydziaki, w moich latach.

U nas i w okolicy to nie było rodzin ruskich oficerów.

Tego wojska to było pełno. Najwięcej w Śniadowie. Bez przerwy jeździli samochodami. Któregoś razu przyjechał do nas na kolonie jakiś Ruski chyba ze sztabu, jakaś wyższa szarża i zrobił zebranie. Wszystkich zebrał i opowiadał nam:

- Teraz my będziemy pod Rosją, Ruskie będą rządzić nami - i tam robili kolejki tak, wąskotorówkę, to wszystkich gnali do roboty na to kolejki. Z tego dworu koło nas to dziedzic Łuniewski (kawaler jeszcze był, chociaż 34 lata miał, był w stopniu kapitana, matka jego zmarła przed wojną) zaraz uciek w stronę Warszawy, do Niemca. Za Niemca to jego szwagier Borkowski przyjechał tu gospodarzyć, bo ten Łuniewski tam się ożenił. Te dworskie też pouciekali jak Ruskie przysli, bo nie chcieli robić w kołchozie, więc Ruskie musieli zganiać ludzi siłą do pracy od tego dworu.

Jak już ta władza przysła po wojnie, to rozparcelowali ten dwór i te co tam pracowali, to dostali ziemię z reformy i do dziś mieszkają tam. To oni już powymierali. Ich dzieci i

wnuczki tam mieszkają.

Priedsedatielem był taki z Dębowa Księżyk, małorołny. Urzędował we dworze. Tam zrobili kałchoz. To nakazywali nam, żeby iść do dwora, sieczkę rznąć, krowom dawać. To my tak w kolejke chodzili ze wsiów i z kolonii. Nieraz my tam poszli, to i nie chcieli robić, to Księżyk stał i mówił:

- Co Francji i Anglii czekacie, że was obroni. Związku Radzieckiego nikt nie pobije. Taaak. Berzcie się do roboty. Nie czekajcie, nikt tu nie przyjdzie. - A później - jak Niemcy przysli - biedaczysko uciek gdzieś i zginął chyba, a kołchoz ten się rozwiązał.

Na początku to robili takie zebrania na których uświadamiali wszystkich. U nas na kolonii to było tak że dwa razy. Przeważnie przychodzili młode ludzie, bo stare nie chcieli przyjść. To im gadali, a oni się śmieli po kątach, bo wiadomo - co tam z kacapem gadać i tak każdy swoje myślał. Może i zaraz byli wybory, ale tego już nie pamiętam.

Któregoś razu przyszedł do nas na kolonie milicjant ze Śniadowa, ten Drzewko, pisać nas. Pytamy się:

- Czego?

- To tak tylko. Kazali ruskie podać tam... - A ja uważał, że już pewno listy robili i na noc chodził spać do Uśniku, do Zielińskiego Józwy, mego kolegi. On jeszcze żyje. To ja do niego bez przerwy chodził nocować. To był mój kolega ze szkoły, zresztą tam wszystkie chłopaki to byli moi koledzy. Później jak ja wrócił, to oni mnie zaraz wciągnęli do konspiracji, bo Uśnik, Dębowo, Wierzbowo to tam sama partyzantka była.

I przychodzili do mnie chłopaki - takie już starsze, z wojny. Jeden to był Tyscak Wacek z Jakaci Borowej. To on zakładał organizację. Przed samo wojno w wojsku był, chyba kapralem był. Później mnie ludzie mówili, że on, po moim aresztowaniu, nadal dowodził organizacją. Do jego należeli i Jakać, i Zalesiaki a sztab był chyba w Nadborach koło Pisk, gdzieś na kolonii. Jak Niemcy przysli po raz drugi, to on został sołtysem, bo jego ojciec to był "gruby" gospodarz i chociaż z Niemcami dobrze żył, to jednak zabrali go od kościoła. Widać go ktoś oskarżył. Zaraz go podobnież zabili. Szwagra Zakrzewskiego Tadka (co tu był jak film kręcili panowie) to razem z nim zabrali i zabili. On był szefem organizacji NSZ.

No i ten Tyscak przyszedł do mnie i mówi:

- Wiesz co. U ciebie to będzie dobrze organizować. Ty na kolonii mieszkasz. Dobre miejsce. Będziesz należał?

- Będę należał, ło pewnie.

- Dobrze, to my przyjedziemy i zrobim listę. - I przysli za pare dni do mnie - w styczniu 1940 r. - wpisali mnie na to liste. To było ZWZ. Później jeszcze pare razy byli, sie pytali jak tutaj jest.

- To Ruskie mało do mnie przychodzo - odpowiedziałem.

Na wiosne mieliśmy robić ćwiczenia, takie przysposobienie u mnie na kolonii. Broni jeszcześmy nie mieli, tylko dopiero żeśmy organizowali. Z tym Tyscakiem przychodziło z nim dwóch jesce, ale juz ja ich sie nie pytał, bo to było ściśle tajne, to nie to co po wojnie, że i małe dzieci wiedzieli kto do konspiracji należy.

Moje koledzy to byli Krajewiaki i ja im mówiłem, że tu ma sie tworzyć taka organizacja, ale to byli bojące chłopaki, i ich rodzice byli bojące, i ja wcale do nich sie nie odzywał, bo jak kto bojący, to lepiej sie wcale nie odzywać. Tak że nie zdążyłem kogoś jeszcze wciągnąć do organizacji, bo zostałem aresztowany.

W lutym 1940 r. wywieŚli piłsudcaków z Konarzyc i tych, co to mieszkali na kolonii. Wszystkich, kto był w Piłsudskiego armii. Kilka rodzin stamtąd wywieŚli. To oni juz nie wrócili.

W nocy z 31 marca na 1 kwiecień Ruskie obtoczyli budynki i zabrali mnie. Jak ja sie później dowiedział to było tak. Prawdopodobnie że my należeli do sołtysa w Radgoscu, do "Piasków", a jego chłopaki to byli moje koledzy. I do niego przyjechali Soweci z wieczora w kilku żołnierzy i kazali mu przysykować furmanki, bo nas będą brać nocy - bo w dzień nie mogli, bo byśmy uciekli, bo to na kolonii. A on, gdyby był dobry Polak, to by wieczorem wysłał do nas chłopaka którego i ostrzegł, ale on wiernie służył im, bo bojał sie ich.

A Żydzi ze Śniadowa z nimi byli, że ten co nas oskarżył, to uciek i sie ukrywał pod innym nazwiskiem, ale później Niemce go dopadli, bo nasi go oskarżyli, i zabili go. Jak mnie ludzie mówio, to tu za Niemca było dużo takich Polaków co z Niemcem pracowali. Później jak ja przyjechał z Syberii, to pytał się ich:

- Dlaczegoście mnie nie dali znać.

- łeśmy sie bojeli Ruskich - odpowiedział syn tego sołtysa.

A ja wtedy by w domu nie był, bo to już był koniec marca i ojciec pojechał do Łomży coś tam załatwiać, a ja wozil cały dzień obornik. Wywozłem go chyba z 15 razy. Jednemu to było ciężko, ale ja był chłopak juz dorosły, skończone 17 lat. I na wieczór matka juz szykowała jedzenie, ojciec przysed z Łomży i pamiętam jak matka mówi do ojca:

- Ty cholero stary, włócys sie a chłopak sam wozil obornik, napracował sie, zjad i tera

musi iść do Uśnika, bo przyjadą kacy jego aresztować, to musi iść.

A ojciec poszkodował mnie:

- Nie chodź - mówi - Idź spać. Ja byłem w Łomży i [słyszałem od ludzi że] Amerykanie zabronili jm. W Łomży gadają, że zabronili. Nie bedo już wywozić. Ja w to nie wierzył, bo to przecież w lutym ludzi od nas wywozili na Syberie, ale nie chciałem się ojcu sprzeciwić i takem w ubraniu się położył. Pomyślałem sobie, jak wszyscy usno, to ja wstane i pójde do tego Uśnika. Jak zasnąłem, to dopiero szczekanie psów mnie obudziło. Ja już nic nie patrzył co będzie tylko się zerwał i do ucieczki, bo wiedział ja że jak psy szczekają, to już coś tam jest. Aby ja od budynków odleciał i będę uratowany. I ja wyskakuję z mieszkania, a tu śnieg popadał, i to gruby, biało na dworze. Ja między stodołę i chlew skoczył, i zaraz by w pole poszed, a tu dwóch wojskowych z bronio do mnie krzycz:

- Stój! Budziem strzelać! - Ja tak spojrział na nich spod oka i zeby nie śnieg, to bym jeszcze uciekał. Bym kozła przewinął, a była taka ciemnica, że na pięć metrów nic widać nie było, ale po śniegu świeżym to się ucieknie? Widać wszystko. Zatrzymałem się, zara wrócili mnie do mieszkania. Ten szef ich powiedział:

- Zabierajcie się. Pojedziecie stąd. - Ja się nic nie odzywam. Patrze się na nich. Matka mówi:

- Nie pojedzie nigdzie. Tutaj jest moje miejsce, tu się ja urodziła i tutaj muszę żyć. Chcecie to mnie zabijcie tu, a ja nie pojedzie. Ubijcie mnie na miejscu, jak mam tam zginąć. - A przecież ja miał jeszcze dwóch braci i trzy siostry. Czwarta była w Głęboccu, to już jej na liście nie było, no i najstarszy brat, co już był aresztowany.

- Musicie jechać - powiedział na to Ruski. W tym czasie podjechał z kilkoma furmankami ten sołtys z Piasków, bo jako sołtys musiał im dać furmanki. Tak było. Oni [czerwonoarmiści] stali od nas jakieś pół kilometra na takich łąkach i podeszli pieszo i obtoczyli budynki, a furmanki później przysli. Do mnie to dwóch bajców wyleciało, a tam dalej to stało z dziesięciu.

No i kazali nam się zbierać. Ja wtencas wiedziałem, że my już nie powrócim prędko. Miałem rower taki dobry jesce i mówię temu Ruskiemu, że ten rower, to jest nie mój, pożyczony od sąsiada, bo zacząłem kombinować jak by tu ocalić ten rower. I wóz też nie nas - bo to był nowy wóz. Pomyślałem, że szkoda go, bo zaraz Ruskie albo ludzie zabioro. No i ten ich dowódca kazał tym dwóm żołnierzom razem ze mno iść do naszych sąsiadów. Gdyby tylko jeden żołnierz ze mno był, to byłoby poł biedy. Dmuchałbym go, zabrał karabin

i uciek, ale dwóch to nie da rady. No, posłem i mówię do Krajewiaka:

- Chodź weśmiesz swój rower - i mrygnąłem do niego - ja ci oddaję i wóz zabierzta, bo ja mówiłem, że to was, bo zaraz zabioro jak my odjedziem - Ruskie to nie rozumieli o czym my mówim. No i przyszedł Krajewiak ze mno, wzięł rower. Później jego brat przyjechał i wzięł wóz. A miałem jeszcze karabin schowany w stodole, w "fontce", to bojałem się jemu powiedzieć, bo on by się też bojał. To potem napisałem do niego w liście z Syberii, gdzie ten karabin leży, tzn. ja nie napisał, że to karabin, ale tak że on zrozumiał o co chodzi. I on znalazł ten karabin. Ta nasza stodoła stała pusta, bo oni [Sowieci] zabrali zboże, krowy, konie, wszystko do dwora, do kołchozu. I Krajewiak znalazł ten karabin i później jak ja przyjechał, to mnie jego oddał.

Krajewiak mnie potem opowiadał, że na drugi dzień rano jak nas zabrali, to Dębowo, wszystkie te biedne przylecieli i kury to po dachach ganiali. Brali wszystko co się dało, wszystko grabili. Póki Ruskie nie przyszli, to zabrali co tylko mogli. Te z Dębowa, to dobre "meble" byli. Potem, już po wojnie, zaczęliśmy wrócić, to pod szyldem partyzantów chodzili i rabowali.

Razem z nami wywieśli Niedźwiedzkiego ze Śniadowa, który też należał do organizacji. Też gospodarz był. I razem z nami wrócił. To był zacięty Polak. Na Syberii ze mno się kontaktował, to pokazywał mi tam naszą mapę sztabową, to mówiłem mu:

- Schowaj się chłopie, bo jak tutaj się złapio, to dostaniesz 15 lat. - I schował i nikomu nie pokazywał. Ze mno się znał, bo my razem stąd, to mnie się wcale nie bojał.

Razem z nami był też wywieziony Najda Bolesław. Był komendantem policji w Śniadowie. Też wrócił. Z Jakaci-Dwornej byli Sierżputowski, Jarmitowski. To razem ześmy jechali. Sierżputowski to był taki dawny "Amerykan", bo kiedyś w Ameryce był. Razem nas wywieśli i tym samym transportem wracaliśmy, bośmy byli w jednych kałchozach.

Ze Śniadowa to wtedy cały transport był, bo i Lubotyń, wszystko. Wszystkiego chyba z 8 wagonów załadowali, a w takim towarowym wagonie było z 6 - 7 rodzin.

Dali nam pół godziny czasu na załadowanie wszystkiego. Kazali brać tylko ubranie, pierzyny, odzież a więcej nic. - Ale że piekło się chleb w domu, to wzięliśmy chleb, bo mieliśmy upieczony, trochę smalcu, mięsa i do Śniadowa, na stację, nas przywieśli. Ja patrzyłem, że Niedźwiedzkiego Stanisława już ładują. Oo, to był Polak. Sie nie bojał tych Ruskich wcale. Razem z nim byli jego rodzice, to ojciec zmarł na Syberii, bo to był już staruszek. A starszy brat

NiedŚwiedzaka to zginął gdzieś na wojnie, czy go potem Ruskie aresztowali?

No i zwozili ludzi ze wszystkich stron na stacje. Najwięcej było z lubotyńskiej gminy: Jakaci Dwornej (było wtenczas chyba dwie rodziny: Jarnutowskie i Sierzputowskie), z Podbiela było dużo znajomych, reszta od Lubotynia byli. Jakacka to miała córkę Marysie, to miała rok, albo i nie, a pozostała trójka jej dzieci, to miały po 3-5 lat. Wszystkie przeżyły. Jak tworzyli armie Andersa, to Jakackiego nie puścili do niej, bo miał małe dzieci na utrzymaniu i wrócił do żony. Wrócił razem z nimi do kraju. Teraz, niedawno, zmarł. 1901 rocznik on był. Mieszkał razem ze mno w tym samym kałchozie. Jego żona też mieszkała tam przez pare lat, co było można to pomagało się im, żeby z głodu nie umarli, tym dzieciom się dało.

Na starej stacji w Śniadowie stojeliśmy dwa dni i ja patrze, że kobiety wychodzo z dziećmi, bo niedaleko lasek był. Widze, że jedna podeszła do żołnierza i mówi, że ona z dziećmi chce iść do lasu i ten żołnierz z nimi tam szed. No, tam oni się załatwiali a ten żołnierz stojał z tym automatem, ale sie odkręcił a ja patrze sie na nich z wagona i dumam: Gdybym ja tak tam poszed? - No i mówie jemu, że ja też chce tam iść, a on patrzy sie tak na mnie, patrzy i mówi:

- To idzi. - Odciągnął automat [zamek pepeszy], ode mnie pięć kroki i idzie. A jak kobieta szła, to na plecach trzymał ten automat. Ja poszed za te krzaki, załatwiam sie i patrze czy sie odwrócił, ale nie, cholera, sie nie odwraca i tylko patrzy na mnie. - Wróciłem z powrotem.

W wagonach były takie nary porobione. Od podłogi jakieś pół metra były jedne i potem byli drugie nary, i tam byli ludzie. Na przeciw drzwi było pusto i tam taki piecyk stojał, a po drugiej stronie znów były takie nary jedne przy drugich. Na tych narach w kącie były nasze bety. Jechało się 14 dni w tamto strone, to tam trzeba było spać. Te bety rozciągali i spali na nich. A między wagonami stojeli Ruskie z karabinami i pilnowali.

W Łapach doczepili znów kilka wagonów i w Białymstoku jesce docepili. W Łapach, pamiętam, ksiądz wyszed z ludŚmi do torów z krzyżem jak wjeźdzaliśmy do miasta. Ludzie, kobiety, wsycy płakali w wagonach. Ksiądz sie modlił i te ludzie sie modlili. Stojeli i patsyli jak my odjeźdzali.

Jak pociąg ruszył, to zatrzymał się dopiero w Rosji, tak ze załatwiali sie w wagonach. Tam byli kibelki, dopiero jak przejechali Rusko granice, to wypuscali po dwóch, po trzech, na stacji. Nie wiem ile wagonów było w transporcie, bo trudno było policzyć, bo człowiek juz był taki zmartwiony. Tylko spojrzalo sie, to widać było, ze to był duzy transport. Z powrotem

jak jechali, to ja już liczył wagony, bo już same jechali, to wiem że transport liczył 52 wagony. Pociąg zatrzymywał się tylko w miastach. Tam dawali nam chleb i kawę. Kuchnia wojska podchodziła pod pociąg. Raz na dzień dawali. Na liście było i odkreślali. Mało tego było, tylko tyle, żeby nie umarli. Pociąg był tak długi, że nieraz jak podjeżdżali pod górę, to doczepiali drugo lokomotywe, bo nie mógł wjechać. Jak jechali w tamto stronę, to jakoś nikt nie umar.

Przez stopy, przez Wołgę śmy przejeżdżali. I potem wjechaliśmy w Ural, w te góry. To strasne góry. Nieraz jak patrzył, to obok nas był ostatni wagon, tak cały skład zakręcał. To musiał być pociąg długi. Przez tunele jechali, to nieraz parę minut ciemno było. Zawieśli nas w Kazachstan, stacja Kokczetaw. Rano żeśmy zajechali. Od stacji wieśli nas jeszcze 150 km samochodami po kałchozach. My trafiliśmy do kałchozu Samsonowka. To był duży kałchoz. Dwie wsie przedzielone rzeką. Po jednej stronie była Samsonówka, a po drugiej Prekrasna, a kałchoz nazywał się "Na wstreczu" czyli "Na przeciw".

My myśleli, że oni wyrzucą nas na ulice i pójdą, a oni nas po kwaterach Ruskich rozdzielili, bo patrzyli, że kupa dzieci i kobiet jedzie. To u nas te dzieci takie większe były, a przeważnie te kobiety były z dziećmi małymi. To jak ktoś z Ruskich miał większe mieszkanie, to dla tego im przydzielali "na razie" - mówili im "tydzień potsymas i wybrosis" - ale te Ruskie cywile, to są dobre ludzie. Nikogo nie wyrzucili. Powiedzieli nam, że oni przeżywali to co i my, ale w 20-tym i 30-tym roku, gdy Kołczak bił się z tymi Krasnymi. Tych, co nas psyjmowali - gospodarz nazywał się Iwan Alakin - to ich ojciec poginął od czerwonych. To byli dobre ludzie. Nieraz to i jeść dali, jak nie było co.

Tam byli różne narodowości. Iona naszego gospodarza, to była Mordwinka, cerna taka. Zdatna baba. Mieli troje dzieci. Ona miała 28 lat, a on 38. Mieli drewniany dom i my tam mieszkaliśmy razem z nimi. Nas była duża rodzina, to dali nam jedno mieszkanie i my tam jakoś się pomieściliśmy, na piecu spaliśmy, ale Iwan mnie polubił i mówi do mnie:

- A ty pareń (znaczy: kawaler) będziesz tu u nas koło pieca spał - no i ja tam sypiał. Z nim to było przejście. To był nerwus straszny ten jej mąż. Lubiał popić. To była heca. On zawsze psychodził pijany, a ona się z nim kłóciła. A ona była taka zawzięta, ta Mordwinka. No i raz, zara na samym początku jak my psyjechaliśmy tu, gdzieś we październiku, Iwan psysed taki pijany i ona się z nim kłóci leżąc na łóżku z najmniejszą córką, gada jemu, że on pije... . A ten kacap się zerwał, lampę naftową tak wiszącą zaświecił, ona jeszcze gada, i jak złapie to lampę, jako ją rąbnie to lampo, patrzy, a dziewczynka cała we krwi. Krzyk się zrobił, a Iwan wziął

dubelktówke i idzie do lasu.

- Gdzie ty idziesz? - mówie do niego.

- Mnie tiurma. Pac. Dziewcyne zabiłem. Mnie pachnie tiurma, a ja pójde do lasu. Mój ojciec zginął i ja zginie. - No i posed do lasu z dubeltówko. Ja zawołał matki, to dziewczynke obmyliśmy, ta kacapka płace taka bezpsytomna. Patsym, ze jej nic nie jest, tylko usta ma nieco psecięte tym skłem, a tak to tylko trochę nafto zalana. Ta dziewczynka psestała płakać i mówie do tej kacapki:

- Po co sie z nim klóciła. I co tera będzie? - i ja mówie - Ja pójde po niego. On myśli, ze ta dziewczynka zabita i on nie przyjdzie. Przepadnie chłop i co będziesz miała. Ja pójde po niego. - A las był zara, niedaleko. Noc, śnieg pada, patse, zeby choć śladu swego nie zgubić. I ksyce:

- Alakin! Alakin! - nic sie nie odzywa. Ide jesce dalej, ale myśle: zawróce sie, bo ja zabłądze. Nagle odzywa sie ktoś.

- Idzi siuda - mówie do niego. Poded do mnie, dubeltówka wymiezona we mnie - Nie bój sie. ChodŚ do domu.

- Co ty chcesz, zeby ja do tiurmy posed.

- Nie pójdiesz. Dziewczynke my umyli, ma tylko usta troche rozcięte.

- Ona mnie oskarzy.

- Ona cie nie oskarzy, bo ona siedzi i płacze, i wysłała mnie po ciebie. ChodŚ - i ciągne go za rękaw, a on coraz słabszy, daje sie powoli ciągnąć, idzie.

- Jak ona nie wyjdzie po mnie, to ja nie pójde do mieszkania - odezwał sie Iwan. Prowadze ja go na podówrze, a ona nie wychodzi.

- Poczekaj tu troche - mówie do niego i skoczyłem do mieszkania.

- ChodŚ sybko, bo psyed i pójdzie zara - mówie do niej. Za kark jo i psyprowadziłem na podwóze. Ona stoi psed schodami i płace.

- Powiedz, zeby on sed - mówie do niej. No, powiedziała wrescie. On dubeltówke na plecy i psyed.

- Rano weŚmies konia - mówie do niego - ze dziewczyna sie przewaliła i usta rozcięła i ona [jego żona] nie powie, i my nie powiemy. Co ci ten las da? Nikt nie powie. Nie bój sie. No i posłuchał sie. Pojechał rano po lekarza, ten zszył dziewczynce to rane, bo miała rozcięte do samej kości. Na drugi wiecór psynosi on samogony i woła mnie, zeby pić z nim. Ja jesce był młody, tej wódki nie chciał wiele pić. A psysła jej rodzina. Mieskali obok. I jej brat

dziwił się:

- Jak ten pareń mógł tako dobro rzecz zrobić? Toć on by był nie wrócił. Jak on sie domyślił ten Polak. I za pare dni to te ruskie chłopaki psychodzili z kałchozu i brali mnie, zeby ja sed z nimi do towarzystwa. Zara cały kałchoz sie dowiedział. Ja nie umiał po rusku rozmawiać, oni nie patsyli na to, rozmawiali ze mno, tak mnie psyjeli, ze ja taki dobry uczynek im zrobił. Za rok zaceła sie wojna i oni wzieni go do wojska.

Duzo tych Ruskich co tam było, to pod Warszawo byli w 20-tym roku. Te stare. To opowiadali mnie, jak uciekali spod Warszawy. Aby tylko troche. Taki stary kacap przysed do mnie, obejrzał sie aby Ruskiego nie było i politykował jak jem za cara było dobrze.

- Wy to niedawno, ale my tyle lat sie mordujem - mówił - i nie miał nic do nas. - Paliaki to wojujuszczij narod. Ja pamiętam jak nas gnali spod Warszawy.

Te Ruskie ludzie, cywile, to byli dobrzy ludzie, tylko te urzędniki. Który doszed do władzy i do partii należał, to koniec. Tam nie było dostępu do niego. Stalin tylko u niego i więcej nic.

Jak święta byli, to my po domach sie schodzili. My świętowali swoje święta, a Ruskie 14 dni później. Tak samo jak i my. Nawet jak ślub brali, sie żenili, to przychodziła taka dawna zakonnica Ruska i jak przysli do cywilnego ślubu to klękali na derke i ona jech błogosławiła. To tak zamiast księdza. I tak po cichu, zeby władze sie nie dowiedzieli. Jak partyjniak Ruski sie żenił, to ona tam nie posła. Oni tam wierzyli w Boga, wszystkie. Partyjnych w kołchozie było mało. Jak partyjny szed, to od razu głos zniżali. A my żyli tam pare lat, to oni z nami żyli jak ze swemi. Nie bojeli sie nas nic. Raz, że język dosyć zrozumiała, dwa, że wiara podobna no i ze nas za walke z komunizmem wywieŚli a jech ojce też poginęli tam też w walce z komunizmem. Oni mówili, że ich ojce byli w armii Kołczaka i uciekali przed komunizmem na Syberie. Jak mówili, to jeszcze przez pięć lat po pobiciu Kołczaka nie byli tam w kołchozie. Dopiero wtedy sie tam maskra rozegrała. Chleb z pieców wyrzucali, zboże palili w stertach - tak komuniści szli. A ich mężów, co byli u Kołczaka to rozstrzelali od razu. Ale duzo sie ukryło, bo przeszed do drugiego kałchozu, tu, tam. Jednego Ruskiego przy nas - miał 66 lat - to poznał taki jeden co przyjechał z rejonu. I dostał przy nas 15 lat. Tyle lat po wojnie. U nich amnestii nie było. I stary poszed dożywać do więzienia.

Ja sie popatrział u nich na ten komunizm, to żebym miał tak żyć swój, wiek to lepiej było sobie skrócić. Jak te Ruskie sie mordowali. Człowiek był to samo co i więzień. W kołchozie

musiał robić. Jak się urodziło i te prezydentowie i sekretarze nie rozkradli, to dostał. Kary nie było na tych co kradli. A w kółchozie to było tak, że jak się urodziło, to trzeba było zdać do państwa wiekso część, a reszto się dzielili, a przeważnie dzielić się to nie było czym, bo już wszystko było rozkradzione. Jak na wiosne w kółchozie zasiałi kartofle, to ten biedny kółchośnik w nocy poszed sobie wybrał kosz albo dwa kartofli z pola i żył. A na jesieni jak młócili zboże, to nogawki zawiązał u dołu i sypał sobie [w spodnie]. I tako żyli. To przy nas to robili, bo nas się nie bojeli.

U nich to już w sierpniu mógł być śnieg, tak że we wrześniu to już była zima. Oni mówili: U nas tylko 9 miesięcy jest zima, a to wsio i leto, i leto, i leto.

No i bioro tego ruskiego na wojne, my zostajem tam z nio. On miał dwie krowy, świnie casem chowali. No i na zime trzeba było nakosić trawy na tych stepach dla krów. To ja im pomagał, to trawę kosiłem. To chyba że dwie zimy my tam z nio byli. Ona nam i mleko dawała, i kartole śmy sieli razem z nio. Tak ona nas "ziła" [traktowała] jako rodzina, za to, że tak jej pomogłem wtedy. Wcale nas nie miała za obcych ludzi. I on psyed z wojny później, bo ranny był i puścili go.

Latem to my musieli robić w kółchozie. Jeździli młócić zboże, bo oni kosili co kombajnami, to kombajnami a reszta kosiarkami i w take sterty kładli. Później mieli takie w "rodzie" [w rodzaju] tych naszech "damfów" i gnali ludzi i młócili. I nas gnali do młócenia, do tych stert. U nas w rodzinie to tylko ja i młodszy brat (juz tak dorastał) pracowali, a reszta to byli małe. Ojciec miał już koło 70 lat, to nie dał rady, a mama to przędła ruskim wełne, za to dostawała to mleko, to co innego. Stale siedziała i psędła, a ojciec do psędzenia nie był zdalny a innych robót nie umiał. Takiego starego do kółchozu nie brali, bo tam psewanie młodziem była. A nas jak brali, to nieraz pojechaliśmy w step do tego młócenia na cały tydzień. To jechała i polska młodziem i ruska. Psychodzi wieczór to my sobie robim takie szafasy i polskie dziewczyny mówio:

- łebyśta Ruskich nie wpuścili. Mata tu z nami być w tym szafasie. My nie chcemy z nimi się zadawać. - A te ruskie chłopaki z nami dobrze żyli, i te dziewczyny ich. To my razem z nimi, ale psyed wieczór, to my już z naszymi dziewczynami i musimy ruskim mówić:

- Nie wolno wam wchodzić, bo nase dziewczyny nie chco, byśta wchodzili. - No, jak ona ma racje, to tseba słuhać.

- Co ja pójde do kacapa rozmawiać? Ty mas ze mno rozmawiać - mówiły nase dziewczyny.

I co tu mam do gadania? Nic jej nie mogę powiedzieć, bo ona ma rację. To w tych szalasach one kładli się z dala, a my we drzwiach, bo te Ruskie w nocy nieraz nachalnie szli. Jak my spali z brzoza, to się nas bojeli, bo lanie zaraz dostano.

Z kolegów to pamiętam Staśka Nikiela z Troszyna. To był student, miał nawet to dziesięcioletnio szkołę skończono, to zdjęcia nam robił, miał aparat. Drugi to był Gruszka - syn policjanta. To my we trzech to byli takie szefowie Polaków. Pod nasze komende wszystkie te Polacy byli.

Jak już wojna się zaczęła, polska armia powstała, to my zaraz pojechali do rejonu. Nazywał się Wołodarowka. To było do niej 50 km. Tam kazali zrobić spis Polaków. I tam powstała nasza placówka i w kałchozach, gdzie byli Polaki, to my mężów zaufania wybrali. Ja byłem mężem zaufania u nas, w naszym kałchozie. Za Sikorskiego to my już potworzyli szkoły polskie. Tam nie było, co prawda, nauczycielki wybitnej, ale wystarczyło. U nas, w kałchozie była taka Sikora z Podbiela. Zmarła w zeszłym roku. A te z rejonu wyznaczyli mnie, żeby ja miał nadzór nad szkołami na trzy kałchozy. Trzeba było ich tam w zeszyty zaopatrzyć i pilnować, żeby wszystkie polskie dzieci uczęszczali do tej szkoły. Ja podlegałem dla rejonowego męża zaufania. Musiał zrobić spisy wszystkich Polaków, jaki tylko gdzie byli. Przedstawił jemu, a on od razu do Moskwy wysłał, do ambasady. I my od razu byli zarejestrowane i dzięki temu my po wojnie psujechali, a ile ludzi tam zostało? Nawet nie wiedzieli, że się jedzie. A my mieli szkoły swoje, i zapomogi zaraz Ameryka dawała. Ambasada nasza była w Moskwie, to dostawaliśmy: ubrania, żywność, obuwie. Jak tylko Sikorski zawar umowę, tak bez przerwy szły do nas paki.

Za Sikorskiego docierała do nas polska prasa. Z Moskwy otrzymywaliśmy, a później skończyła się. Gazeta przychodziła do rejonu i tam na mężów zaufania dawali.

W tych kałchozach ludzie byli przeważnie z Wilna i okolic. Oficerów żony byli przeważnie. Pamiętam takiego Żyda z Łomży: Orłowskiego. Był razem z córką. On miał fabrykę maszyn przed wojną i Ruskie jego jako burżuja zaliczyli.

Jak powstał Sikorski to my dostali dokumenty: swobodnowo prożiwania na sowieckim teritorium. Te dokumenty dostali wszyscy Polacy, nawet ci co mieli sowiecki paszport. Zresztą, w tym paszporcie musiało być napisane, że jest narodowość polska i wyznanie rzymsko-katolickie, bo inaczej my nie chcieli podpisać paszportu. I to nas utrzymywało. No, u nas Niedświedzki nie podpisał paszportu i poszedł do łagra, matka - staruszka - została sama, ojciec już zmarł. To wypuścili go dopiero przed samym naszym wyjazdem z Rosji w

1946 r. Jak nas wołali po te paszporty, to ja zapytał się Nikluka:

- Ty, to jak, bierzem te dokumenty, czy nie?

- Bierz, jesteśmy trochę na wolności, a jak nie weŚmie, to wsadź do kicia i co będzie? WeŚmiem, ale majo napisać to co my chcemy: narodowość polska i wyznanie rzymsko-katolickie. - I dalej jemu te dokumenty jako pierwsemu. On wziął ten pasport i patrząc na Ruskiego zmiął w rękę. Kacap się patrzy na niego, co on robi, a on wsadził taki pomięty w kieszeń i posed. Nie mógł go za to ukarać, bo wsadził w kieszeń. Potem Nikluk dostał się do armii Andersa, bo u niego w rodzinie wszystkie byli dorośle, i potem po kolei ich wszystkich ściągnął do armii i prawdopodobnie znalazł się w lotnictwie, a oni teraz wszystkie na zachodzie.

Jak paczki przychodziły, to Ruskie dawali nam transport - bo myśmy wtedy mieli takie trochę przywileje, bo byliśmy Polakami - i jechaliśmy do rejonu. Na koniu to jeszcze było możliwe, ale jak na wołu przyszło jechać te 50 km, to... . No i po przywiezieniu do kołchozu rozdawaliśmy to Polakom. Osobiście to rozdawałem. Liste się zrobiło. Każdy musiał się podpisać, i potem ja to oddawałem do rejonu. Te spisy musiałem robić w dwóch językach.

Raz nas pognali do wyrębu lasu w maju. My byśmy tam przepadli, bo tam sktraszne komary byli, i to te malaryjne i rozmaite. My pojechali tam w kilku: ja, Gruszka i inne koledzy. To policjantów syny, to oni z piła nic nie mieli wspólnego. Jak nas te komary ścieli, to my się pochorowali i uciekli z tego lasu. To później mu udawali, że chore, chore i w końcu już nas nie brali. To predsiedatiel nakazał tak nam. No, ale nie czepiał się, bo chore byliśmy.

Innym razem to nas gnali do mlecarni, żeby my cieli łód na rzece. Przed wojno, to i w Polsce trzeba było łód ciąć nie tylko dla mlecarni ale i dla masarzy. Szykowali się łód i trocino go nakrywali i mięso chłodzili. To ten łód to co zimie nas gnali, ale z lodem to nie było takie problemy jak z lasem latem, co komary cieli. To my potem tego lasu unikali, i oni potem nie chcieli nas tam brać. Mówili:

- Z Polaka to nie robotnik. Choć i jest w lesie, to i tak nic nie robi. - A że my młode chłopaki byli, to oni nie wiedzieli, czy nas sądzić, czy nie. Z lodem to już łatwiej było, jeść dali, to już pół biedy. Choć raz na dzień, ale dali. My cieli ten łód i tylko patsyli, by kto się nie władował pod łód. To była głódówka, ale co było robić. W domu się trochę jadło. My kupowali pszenice od tych Ruskich albo kombinowali, pszenice się mięło w żarnach na tako kasze, mleka się się skombinowało. Matka tej pszenicy zagotowała, zalała mlekiem i było

dobrze. A chleb to jak się poszło do kałchozu do roboty, to dali pajdke. To ja to pajdke pooglądał i zostawił. Przyniósł do domu, każdy wziął po kawałku i zjadł. I chociaż był głodny, to na szczęście jaki klimat tam był zdrowy. Górski klimat. Latem to tam było takie ziele grube, to my je jedliśmy, bo i Ruskie jedliśmy. Jakieś takie słodkie, takie jak u nas rabarbar. A na wiosnę to znów sok puszczałyśmy z brzozy i piliśmy, to podobnie był zdrowy i smaczny. Jagody rosły na polach takie duże jak truskawki. Dziko rosły na stepach. Pełno tego było. Z kolei w ogrodach rósł taki czarny - oni nazywali - "poszlon". Taki był jak u nas dziki bez, ale to było dobre do jedzenia, to ludzie się pierogi z tego robili. Nieraz jak poszło się do ruskiej coś zrobić - bo ja tam kuchnię się nauczyłam stawiać, to tym ruskim stawiałam - to gospodyni nagotowała tych pierogów i stawiała do jedzenia. Przyszło się do domu i zaraz nasze kolacje gotowałyśmy jedli.

Jak tworzyła się armia Andersa to ja stawałam na komisję, ale nie wzięli mnie, bo rodzinie miałem na utrzymaniu. Tak samo i Sikora z Podbiela, co to jego siostra dzieci uczyła. On miał starych ojców. Najpierw była ruska komisja w Kokczetawie i dopiero potem była polska komisja. No i oficer powiedział mi, jak wymieniłem kogo mam na utrzymaniu:

- Wie pan co, zgino wszyscy. Wie pan, my tylko to armie stoimy, aby była. Wróćcie do domu, to choć rodzinie pomożecie. - Taki mądry człowiek był. No i psyjechaliśmy do domu.

Psyła zima i te ruskie robili walenki, takie filce. I mnie wzięli do roboty przy tych filcach. Jak Ruskie posli na wojnę, to te walenki robił ja sam. To było dobre zajęcie, bo za te walenki Ruskie - chociaż wiele nie mieli - ale dali mleka trochę, masła, kartofli, pszenicy parę wiader, bo to na pudry było. A ja po cichu tak to temu Ruskiemu zrobiłam, to Kirgizowi - oni to mieszkali w innym kałchozie i psyjeźdzali do mnie. Kirgiz to nie wydał, bo Kirgizy to byli na Ruskich złe, a z nami dobrze żyli, oni wiedzieli, że nas tma przywieśli.

Ja później zrobiłam sobie ziemiankę i posłam do niej, bo siedzieć u kogo stale, to nie robota. A tam łatwo było. W ziemi się wykopało i tylko okna na wierzchu. Ściany takie, ściany grube i matka i siostry wymazali to gliną, się dorobiło dach i taki domek był. Podłoga z gliny była. Grunt, ze swoje. Któregoś razu ta moja gospodyni mówi do mnie:

- Zrób mi parę walenek, to ja ci zapłacę, może mleka ci dam.

- Ty mi nic nie będziesz dawać.

- Dlaczego?

- Bo ja u ciebie tyle lat siedziałam. Ja ci powiem: ten chłopak twój już dorasta, 17 rok mu

posed, ty jemu daj welne, niech on przyjdzie, ja mu załozę i on zrobi ze mno walenki i nauczy sie.

- To charaszo. - No i ten chłopak psysed i robi te walenki. Brat mój robi młodsy i ja, i łon. A tu nagle wchodzi Ruski priedsiedatiel z jednym z Rajwojenkomatu i ten drugi mówi:

- ZnaleŚli całe fabryke walenków. Mówio, ze u was nie ma fabryk. Ło, u was fabryka je! Dawno wy robicie?

- Dopiero zacząłem tera.

- To komu wy robicie?

- Ja robie matce walenki, a ten - wskazałem na chłopaka - to sąsiadki. robi swojej matce, bratu. On nie umie, to pomagam.

- Taaak? - odezwał sie priedsiedatiel - On drogo nie bierze, tolko barana i 1000 rubli. Dobra, zabiraj sie i idziem do kantoru, tam bedziem pisać protokół. Będzies arestowany. - No i ide. Psychodze. Tam siedzi drugi Ruski i pise, ze ja robie walenki.

- Ile biezcz za walenki?

- Nic nie biore. Biore żywność tylko, mleko, masło.

- Ile biezcz.

- A ile kto ma, to da. - No i pyta sie komu ja robił. To ja mówie, ze tej Ruskiej, tej. Woła to Rusko, co to ja u niej siedział i ona mówi:

- To jest charoszyj pareń. On darmo mnie robił. Jego nie nada brać. Gdyby nie on, to by my juz padochli. Nasze męże so na wojnie, a on robi. Chciałam dać mu mleka. to powiedział. że nie chce, bo mieszkał u mnie. - A druga Ruska też powiedziała:

- On mnie robił, ale ja mu dała tylko dzieżke mleka. - No i te baby nie chco jemu powiedzieć, zadna, że ja biore pieniądze. Nic, tylko krzyczco, że to charoszyj pareń. A ja sobie siedze.

- Jak masz dokument? - A ja miał tylko ten "swobodnowo probywanija na sowietskom teritorium" i mu to pokazał.

- To ty Paliak? - zdziwił sie - Jako mas rodzine?

- Siedem osób. Ja jestem najstarsy. Ojciec i matka starzy. I tak gdzie mnie dadzo wiadro kartofli, to robie. Muse robić, bo rodzina z głodu umrze.

- Jakie wzrosta jest ta twoja rodzina? - A ja udał, że nie rozumiem i mówie:

- Ja nie znaju kakiego wzrostu.

- Ty po rusku nie panimajes?

- Nie.

- Ja ciebie po polsku skażu. Skolko im let.

- Tak i skażitie. Ja dumał dalinninaja kakaja - mówie tak naumyślnie. - A drugi, co siedział obok odezwał się wtedy:

- On z tiebie szutit, ten Paljak. Myślisz, że on nie rozumie po rusku? - No to ten grab [złapał] za telefon i dzwoni do rejonu, i mówi że:

- Znalazłem tu takie przedsiębiorstwo, co walenki robi ludziom. - Widocznie ten w słuchawce pyta się co to za jeden, bo ten odpowiedział: - Ma dokument swobodnowo probywania na sowietskim teritorium. Polak jest. - Widać ten w rejonie mówi coś nie na jego stronę, może coś w tym sensie: nielzia jego trołgać, bo Paliaki majo swojo armie, swoje państwo, tylko aby przeciw władzy nie był, a robić niech robi ludziom. - Tak uwazam. A ten to słuchawke położył i z tech nerwów do mnie mówi:

- Idzi w kiebieni matieri ot siuda. - To znaczy, że do domu.

- Spasiba wam - ukloniłem się - Da swidania i wysed do drugiego pokoju, gdzie siedzieli te Ruskie kobiety, co ich wołał i cekajo na to co to będzie. Ja usiad miedzy nimi a po chwili przeszli koło nas ci dwaj. Ten drugi rekawiczkami mnie po nosie udeżył i mówi z podziwem:

- Job twoju mać Paliak, ty mas smykałe - i posed w cholere. A te Ruskie juz rozpowiedzieli, że mnie rozstselajo. No, u nich to tak było. Gdyby ja był Ruski, to pewnie i rozstselali by.

Później juz te Ruskie się mnie nie cepiali. Jak mnie te enkawede nie wzięło, to ten preddsiedatiel "usiad" [odczepił się]. Ja tam nic przeciw nim nie robił, bom się bojał. A był z Kobylina [pow. Wysokie Maz.] taki Kobyliński w drugim kałchozie. On był w 39 r. żołnierzem. I jego chyba tam skądścik puścili w Roski, bo psysed do żony, no i psy mnie cytał w kałchozie rusko gazete im mówi do mnie:

- Co tam, teraz juz pod Moskwo so Niemcy, ja się ich juz nie boje. - I tłumacy tym Ruskim, że Niemcy okrążajo Moskwe. Za dwa dni przyjechali i zabrali go. Do dziś dnia go ni ma. Pewnie Ruskie załukli go za to gazete. Po co im było cytać.

Ile tam było Polaków tu z Białorusi.

O tym Katyniu to u nas gadali i my miedzy sobo gadali, że to Ruskie, a Ruskie nam gadali, że to Niemcy. No, ale my do nich nic nie mogli gadać, ani przytakiwać, ani zaprzeczać.

Gdy Ruskie zerwali z naszym rządym Sikorskiego w 1943 r. to jednak jakoś do nas się nie cepiali. U nas dużo bronili te Ruskie, cywile. Nikt nie skarżył, nie donosił, co złe to ukrywali,

a w innych kałchozach tak było. Mąż zaufania posed i do dziś nie ma. Nas ratowało i to, że predsiedatiele często sie zmieniali.

Gdy zerwali z rządem Sikorskiego, to i predsiedatiela zmienili. Przechodził do kałchozu, to on ni miał znajomości z kałchoŚnikami. Gdyby był stary to by wszystko wiedział, a ten nie nie wiedział. Stale tak było. Ten poszed na front, a drugiego dali i to nas ratowało.

Juz pięć lat minęło prawie i Polacy mówio:

- [widocznie] nie jedziem do Polski - a dzieciaki juz podorastali, wyrośli z nich chłopaki i dziewczyny i mówio do mnie:

- Ty, my musim sie tu żenić, bo my nie jedziem do Polski.

- To co tu za żeniaczka - ja jesce nie był stary chłop. Nie miałem chęci do żeniaczki, bo miałem duzo rodzine na utsymaniu. Sie ożenić, to zaraz swoja rodzina psepadne, a ja był taki więcej katolik. Licyłem, ze mnie kiedyś Pan Bóg za to wynagrodzi jak ja będę tak dobrze żył z ludŚmi.

Był taki jeden, to przychodził do mnie, to robił walonki, grzebienie. Zrazu jesce. To jesce jak Polakom była bieda, to mówił:

- Ja sie zapisał na Białorusa, to lepiej mnie uważajo.

- Ty - ja mówie - ty mnie takich głupot to nie opowiadaj. Ja nie chce sobie zmieniać obywatelstwa. - Co później z nim wysło... . Później biero do polskiej armii, ale Sikorski bierze tylko Polaków a Żydów i Białorusów nie bierze. No i ten Polak-Białorus juz zadowolony, ze go do polskiej armii nie biero, ale później jak wyjeżdżać do Polski, to tylko Polacy, a Białorusini nie i on siedzi, i płacze. Posed sie przepisać [na Polaka] - guzik z tego.

W 1945 r., juz Berlin zajęli, taka kobieta psyjedza do kołchozu specjalnie do Polaków. Dowiedziała się, ze tu duzo Polaków jest, organizacja, szkoła je - Ruskie wiedzieli wszystko. Zebranie z Polakami zrobiła i mówi:

- Polska jest sama w sobie i wy pojedziecie do Polski. Stalin podpisał z Bierutem, ze ma was odwieŚć. Prywatnie bedziecie sami gospodarzyć, ale strategicznie będziecie należeć pod Moskwe. I przy Ruskich gada, ze my jedziem do Polski. Jak my zajechali [z powrotem do kołchozu], to te Ruskie mówi:

- Tu mnie włosy wyrosno jak ty wrócis do Polski. - Później patrz, ze my jedziem.

W kałchozie sąsiednim Kazanka był mężem zaufania Rzeckowski z Sochor. To on ze mno sie kontaktował. Później, jak żeśmy robili spisy Polaków do Polski, to był Ruski jeden przedstawiciel i nas dwóch Polaków. Każdy Polak musiał mieć dokumenty, a jak kto ni miał, to nie chcieli brać.

- Tera przyjdo, spisy będą robić i kto Polak to pojedzie. - Na każdy kałchoz przyjechał jeden Ruski wojskowy i dwóch Polaków - mężów zaufania. Ludzie przychodzili i on pisał. I każdy musiał czymś się udowodnić, że Polak. To my mieli to w dokumentach, ale mój ojciec miał z Polski nakazy podatkowe. Pokazał i w porządku. A był jeden taki z Sokół Jabłonowski. Miał troje dzieci i młodo żone. Przed wojno to był kilka lat w Ameryce. No i oboje zmarli psed wywiezieniem. Zostało się troje dzieci. Najstarsza dziewczynka miała 14 lat, brat 10 i najmniejsza siostra 8 lat. Trzeba jechać do Polski, a dzieci nie mają żadnych dokumentów. My spisujemy, rodzice psychodzo, tu Polacy a ta dziewczyna przysła i płacze. Ja mówię do Ruskiego niech isch pisze [na wyjazd].

- Jak ja zapisać? Macie jakieś dokumenty na nich. - No jak to dzieciak nie ma nic. Ja z Rzeckowskim pogadaliśmy i mówię, że my będziemy świadczyć na niego.

- Jakżeż wy będziecie świadczyć?

- Toć oni niedaleko nas mieszkali. - I my napisali taki dokument, że pod przysięgo my obaj zeznajem, że ja od Sokół mieszkał niedaleko, byłem u niej rodziców i znam ich dobrze. I to samo Rzeckowski. I zaświadczamy, że to są dzieci polskiej rodziny. Podpisali my się obaj i Ruski pisze im dokumenty, a ta dziewczyna jeszcze płacze. To my mówim:

- Patrz, jedziesz do Polski. - No i poszła jakoś. I jechali z nami. Ich rodzice w Sokołach mieli gospodarstwo. Za jakieś 10 lat jada z Białegostoku przez Łapy, Sokoły. Za Sokołami chłopak idzie taki gruby zatrzymuje się koło mnie i mówi:

- Panie, poznaje mnie pan.

- Nie.

- A ja pana poznał. Ja pamiętam jak pan poświadczał za nami. I my przyjechali do Polski. - No i mówi, żeby ja jechał z nim do Sokół.

- A kto tam u was w domu jest?

- Siostra wyszła za męża, najstarsza jest na gospodarce, a ja w fabryce cukru w Łapach robie. Niech pan jedzie do nas, choć zobaczy gdzie my mieszkamy.

Jakem odjeżdżał Greczka [Greczynka] ode mnie wzięła ten dom. Tam byli Greci ruskie, tak jak Niemcy nadwołżańskie, to tak samo byli Greci. Tutaj gdzieś na Kaukazie byli. Jak

Niemiec szedł, to jech wywieŚli na Syberie do nas. Tak samo wykotłowali jch. Później nie mieli oni gdzie mieszkać. To ta Greczka była z małymi dziećmi, a jej brat był kolega mój, ze mno towarzyszył. I jaj oddał ten dom. Co ona mnie dała? Kaszy miała 20 kila. To ja wziął, ale mówie:

- A jak nas wróco, bo to wszystko możliwe?

- Jak wróco was, to ja ustąpie z tego domu - i ja napisał tako umowe.

No i robimy my ten spis i majo nam dać darmo z kałchozu furmanki do przewiezienia nas do stacji kolejowej. Tam furmanki miał tylko kałchoz, a kałchoz nigdy darmo nie zawiózł. A to było w marcu 1946 r. Dostali z urzedu polecenie, że majo dać Polakom furmanki. I dajo, ale jak dajo. Zawołali mnie i Sikore tego, co to jego siostra dzieci ucyła, i mówio do niego:

- Ty musisz zapłacić za furmanki, bo jak nie to nie pojedziesz.

- Ile zapłacić? - pytam sie?

- 300 rubli. - A to kupa pieniędzy była. No my poszli z tym Sikoro. Tam nie można było nigdzie dzwonić, bo telefon tylko oni mieli. Ani do Rajonwojenkomatu, ani nigdzie. I mówie do niego:

- Wiesz co, my dla 300 rubli nie pojedziem do Polski? Ja zapłace.

- To i ja zapłace - mówi Sikora.

- Tylko jak wpłacim, niech on da nam pokwitowanie z piecătko. Pies go ganiał. Tam coś bedzie kiedyś - mówie. I poszliśmy płacić. I mówie:

- Zapłacim. ale pokwitowanie.

- Charaszo, dam wam pokwitowanie - odpowiada sekretarka. Te Ruskie to strasznie głupi naród. On nie wiedział jakie to mogo z tego konsekwencje powstać. Myślał, że tylko on jest bogiem w kolchozie i więcej nic już nie ma, a Polak nic mu nie zrobi. Zapłaciliśmy i dobra.

OdwieŚli nas nie do stacji tylko do rejonu (50 km), bo to były wielkie śniegi. I tam nas w cerkwi zwalili. Tam zboże sypali do niej. To cała cerkwie tych Polaków była. Jeden przy drugim. Ja na drugi dzień poszed na miasto i pytam sie czy jest tu rajwojenkomat. Mówio, ze jest. Mówie to Sikorzaka:

- ChodŚ, idziem. Bierz kwitek. - Zachodzim. Oficer przyjął nas z uważaniem.

- Polacy?

- Tak.

- Aha, jedzicie do Polszy.

- Tak.

- Coście tu przyszli?
 - Proszę pana. Ci nas mieli darmo wieść, a my musieli płacić za furmanki.
 - Aaa, darmo było, było zarządzenie w kałchozie. Darmo mieli.
 - A ode mnie i od niego wzięli pieniądze.
 - Baa, ale żebyśta wzięli pokwitowanie, a tak to co ja zrobię.
 - My mamy pokwitowanie - ja mówię.
 - To pokażycie. - Ja wyjął, Sikora też. Pieczętka kolchozu: Samsonówka na wstriecku, tyle i tyle rubli zapłacił za przewóz.
 - Padażdi! - krzyknął oficer, chwycił za słuchawkę telefonu i dzwoni do kałchozu.
 - Wzięliśta od tych i od tych pieniądze?
 - Taak - mówi sekretarka Priedsiedatiel kazał.
 - Jest preidsedatiel?
 - Zaraz - rozmawian on tam z nim, rozmawia. Położył słuchawkę i mówi:
 - Jutro rano o ósmej przychodzita i on przywozi pieniądze. - No i rano przychodzimy. Siedzimy. Wchodzi ten priedsedatiel. Ja stał i mówię do niego:
 - Zdrastwój. - Nic się nie odzywa do mnie. Poszedł do tego oficera i coś długo tam z nim gadał. Bardzopodobnie gadał, żeby mnie zamknąć, że mnie nie należało się jechać do Polski, że ja robił Polskę na Syberii.
 - Iby jeszcze trochę, to tam u nas w kałchozie Polska by powstała - mówił - On był wrogiem narodu. Jego by się należało do ciurmy. - A oficer pomyślał i tak mówi:
 - To ty teraz dopiero mnie mówisz jak on jedzie do Polski i już ma dokumenty? Międzynarodowy paszport on dostał. Dlaczego ty bez tyle lat nic nie mówił? Zabieraj się stąd i uciekaj. - Tak mu powiedział. Na włosu wisiałem. Gdyby on to wcześniej zrobił, kacapów podał dwóch na świadki w kałchozie i dyche bym był dostał i nie wrócił. Tylko poplątało mu się w głowie.
- W tej cerkwi siedzieliśmy tydzień czasu i czekali na transport do stacji. Przepcheli drogę od stacji do rejonu i samochodami ciężarowymi zabrali do stacji. Tam czekaliśmy znów tydzień, tak samo w cerkwi, na podstawienie wagonów. Wagonów podstawili a my sobie chodziliśmy. Tam nas już nikt nie pilnował. Młodzież chodziła a ludzie stare spali na workach swoich. No i liczyliśmy ile wagonów było, to 52 wagonów było. Wtedy przyszedł transport darów z Ameryki. Były tam konserwy dla ruskich żołnierzy, to i nam dali.
- Załadowali nas i ruszyliśmy. Jechaliśmy już bez żadnych przerw. Przyjechaliśmy za Wołgę,

do centralnej Rosji i tu znowu się zatykało. Gdzie duże miasto, to trzeba było stać pół dnia i więcej. Po wojnie, to oni mieli tych transportów pełno. Jak w dużym mieście zatrzymywaliśmy się, to podjeżdżała połowa kuchnia i dawali nam kawę, raz na dzień zupę i po kawałku chleba. Chociaż z jedzeniem było już lepiej, to jednak ludzie umierali, bo byli wynędznieni, wygłodnieni. Cóż można było zrobić. Wtedy kazali się zatrzymać, wykopali dół przy torach, owinęli w szmaty i zakopali. Nawet krzyza nie było z czego zrobić, patrzyli tylko żeby prędzej, żeby pociąg nie odjechał. Takich wypadków było z kilkanaście.

Rukie maszyniści to niejedni byli rzetelni, a niejedni to byłwredni. Nieraz stojem w mieście, to ja mówię do tego maszynisty:

- Długo będziem stać?

- Pół dnia.

- To ja pojedę do miasta. - Coś się kupi do żywności, wiadomo. Ja wziął i pojechał. A to na Woldze główne miasto to był Saratow chyba czy jak. Wracam, a transport odjechał. Skurczysyn maszynista naumyślnie mnie tak powiedział. Zaszłem na stację kolejową i pytam się dyżurnego:

- Powiedział mi ten od parowozu, że będzie sotjał i odjechał. Co ja teraz mam robić?

- Do tego i tego miasta odjechali. Zare będzie pociąg osobowy. Siadaj i jedś. - Nic mi nie gadał, żeby ja bilet kupił. Dobry był człowiek. Bedzie kara, to bedzie ale jade, na razie biletu nie kupałem. Na szczęście to drugie miasto nie było daleko. Jade, jade i patrze, że stojo jakies towarowe wagony a na każdy wagonie, gdzie jechali śniadowiaki to na drzwiach napisane było tako biało kredo dużymi literami ŚNIADOWO, gdzie indziej było BIAŁYSTOK czy ŁAPY. Patrze, że Śniadowo pisze. Ło bracie. No, ale pociąg stojał na towarowej a ja jechał dalej, na osobowo [stację], no ale pociąg już folguje w mieście. To ja wyszed na trep, patrze pociąg troche folguje, patrze żeby tylko gdzieś słupa nie było i bryk z wagonu. Patrze, że matka stoi już taka na pół żywa, a brat zobaczył mnie i ksycy:

- Mama, Teofil idzie. - Pojawił się, chociaż już nie wierzyli wcale.

Jechaliśmy aż do granicy samej w Brześciu. Tam jest rzeka. Tam cały transport zatrzymali. Przyszli pogranicznicy, zrobili nam rewizję. Powiedzieli:

- Kto ma pieniądze, niech odda. Kto ma złoto niech odda. - No, kto był jak my z Rosji, to tego złota nie miał. Pieniądze ruskie to bojeli się, to oddawali. Ja tam te pare rubli co za podszevke wsadziłem to im oddałem, ale oni tylko zajrzeli do tych naszych torbów tymi sztykami, takimi żelaznymi. Ale kobietom obrączki zabierali, która miała z Polski. Złodzieje.

Kobieta w płacz, a ja mówię do tych babów:

- Do dowódcy idziem. - Poszli i mówim, że zabirają obrączki. Ona mówi, że monogram polski jest, wszystko. To dowódca krzyknął:

- Raaaz, zbiórka. Pokażta cośta zabrali. Wszystkie pierścionki. - Oni wykładają. Spojrzał:

- Toż to polski monogram - mówi i oddali tym kobietom, ale nie ukarał tych swoich żołdatów.

Później przejeżdżali my przez Brześć, to Ruskie stali na trepach, pod bronio. 15 czy 18 maja my przejechali rzekę, a tu polski dowódca stoi, polska straż graniczna. Wagony roztwarte, żołnierze stojo. Pociąg zatrzymał się. Do polskiego dowódcy przyszed ruski, dał mu listę naszą i mówi:

- Policz ich i pilnuj.

- Ja ich nie będę pilnował. Oni przyjechali do Polski i gdzie kto chce może jechać. - A kobiety zobaczyli żołnierzy, że stojo przy wagonach z karabinami:

- O, żołnierz polski - któraś krzyknęła i zaczęli płakać, i żołnierze zaczęli płakać. Popłakało się to wszystko. Powychodzili do sklepu ludzie, ponakupywali różnych rzeczy, a oficer mówi:

- Kto chce niech jedzie i czy kto chce. Za te dokumenty co macie, to miesiąc czasu możecie jeździć po kraju bezpłatnie. Szukajcie sobie mieszkania, pracy. - To ja siadłem zaraz w osobowy - bo szyciej - i jade, a rodzice i rodzeństwo zostali w transporcie, który jechał tam gdzie trzeba było. Wziąłem jedną konserwę, to amerykańsko i w drogie.

W Małkini wysiadłem, razem ze mną była taka dziewczyna z Łap. Poszliśmy do UNRR-y. Tam dali nam śledzia, łachy jakieś, dwa lewe buty dali mnie. Tu czekałem na następny pociąg. W nocy nadjechał też nasz transport. Najdzina, żona Najdy, zobaczyła, że ja jade osobowym krzyknęła do mnie:

- Panie Teofilu, pan zajdzie do Śniadowa i powie mojej mamusi, że ja jade, żeby po mnie wyjechała na stację. - No i ja przyjechał na to stację, przysłem do Śniadowa i idę do matki żony Najdy. Pukam w noc w okno, ale boję się roztworzyć, bo ja w wojskowym ubraniu, w amerykańskim battledresie. No, wreszcie odzywa się babina i pyta się kto. No to mówię, że z Syberii jado i pani córka jedzie i kazała mnie powiadomić panio. No to ta podeszła do okna i roztworzyła mnie i mówię, że ja wsiad w osobowy, ale córka zara jutro przyjedzie.

- To ja panu chociaż kartofli trochę przygrzeje, kiedy pan z Syberii.

- ja pójde do domu.

- Zje pan trochę kartofli - nie puściła mnie. No i gdyby nie te kartofle, to bym już nie żył.

Ona mnie te kartofle grzeje. Tam jej córka z zięciem spała, to się obudziła. No ja zjad tych kartofli i mam już wychodzić do drzwi, jestem w sieni, a tu nagle drrr, buch, buch, drrr... .

- Wróć się pan - krzyknęła szeptem kobieta. A tu posterunek był na rogu, koło kościoła.

- Partyzanty przyszli posterunek robrając - mówi - I żeby pana zobaczyli w wojskowym ubraniu i żeby wiedzieli co pan za jeden, to nie ale tak to zara zabijó. Poceka pan, to się zara skońcy, bo to nieraz już tak było. - Już się przyzwycaili. No, ten posterunek się poddał, rozbroili i poszli. Nareszcie zaczyna się rozwidniać.

- Tera może pan iść - powiedziała kobiecina.

Ide przez Śniadów, Zalesie do Radogoszcza, bo tam mieszkał i widze, że tylko przez firanki w oknach wyglądają. Jak się obejrze, to myk, się schowa. W domu była moja siostra, bo jak nas tam nie było, to robiła u nas ze szwagra bratem na polu. No i wyszedłem na kolonie Radgoszcz i patrze, że budynki stojo. Coś jest. Podeszłem blisko i brat szwagra poznał mnie.

- Ty nie odzywaj się - mówi - pójdziem do domu i zobacym, cy cie siostra pozna. - No i wchodzim tam. U siostry dwóch takich chłopaków po 6-7 lat było. Ja w długim szynelu wojskowym. Siostra gotuje.

- Dzień dobry - powiedziałem. Usiadłem przy stole i nic się odzywam, a ona tylko patrzy tak spod oka na mnie a szwagier rozmawia ze mno i w końcu mówi do niej:

- To ty nie poznałaś swojego brata?

- Który to, bo dwóch mam? Teofil? - No, ja nieogolony byłem... . Odjeżdżałem to miałem 17 lat, a teraz 23. - wstawajta, bo wujek przyjechał - krzyczy siostra do synów. Noo, przywitała się ze mno, zara obiad już mnie szykuje. Pogadałem z nio i zara poszłem do sąsiadów, co to im rower oddałem, bo to blisko. Zachodze, oni wychodzo oba, bo to koledzy.

- Jednak wróciłeś - przywitali. Rozmawiamy o tym wozie, o rowerzei mnie wysztko mówio gdzie to jest.

Jak później mnie Krajewiak opowiadał, to niedługo po naszym aresztowaniu przysed do niego z "Piasek" sołtys z Bolkiem Andrzejczykiem i mówi:

- Tutaj Lipki jest rower i wóz, to ja oddaje go sąsiadowi, bo on ni ma - tak był cwany. Ale Krajewiak słyszał już wcześniej, że oni majo przyjść po ten wóz i rower, to rower oddał siostrze mojej, która była w Głęboccu i powiedział do sołtysa:

- Rower siostra zabrała. - No, ale wóz sołtys zabrał. Ale, że Krajewiak wiedział, że wóz majo zabrać, to zdjął "gnojówki" i "drenicy" i powiedział dla sołtysa, że to było nowe i bez

"gnojówek" i bez "drenicy".

No wróciłem ja od tych sąsiadów do domu. Był już wieczór. Było ciepło. Nasze jeszcze nie przyjechali.

- W stodole mata słome?

- Tak.

- Ja będę spał w stodole. - No i położyłem się tam spać. Po jakimś czasie czuje, że ktoś mnie ciągnie za marynarkę. Odkręcam się i słysze:

- Wstawaj Teofil. - Patrze automat na plecach, hełm na głowie. Jakiś taki mały. To chyba Boguski z Wierzbowa.

- Czego chcesz?

- Przyszli my ciebie odwiedzić.

- a skąd wy wiecie...

- Widzieliśmy jakęś szed - mówi zadowolony - Chod^z na podwórko. Zobacysz ile nas jest. - Wychodzę na podwórko i rzeczywiście - całe podwórko stoi jech. Wszystkie w szeregu, tylko brzękają karabinami. Kurka wodna. Witają się ze mną kolejno wszyscy. To był oddział "Dziadka" i "Zbycha" z NZW. Było ich ze 20-30. Wszyscy umundurowani.

- Poznałeś nas?

- Noo, w nocy akurat poznam.

- Poznas nas. Będziem do ciebie psychodzić. Dobrze żeś przyjechał. - No i później bez przerwy do mnie zachodzili, aby tylko coś, to zara do Teofila. Robili cyszenie broni, to ćwiczenia, siostry im gotują jedzenie, a te karabiny na kupie na stole leżą, na podwórku, wszędzie.

Nieraz tak było, że oni rozmawiają, czy ja nie zapomniał, kazo ćwiczyć się. Zara brata ćwiczą nareście patrze: UB idzie od Krajewskich, od sąsiada, przez pole, w mundurach, z bronio. Oni zara ich poznali. Jak idzie jakichś pięć^{dziesiątka} - stu chłopów, to drugich takich partyzantów ni ma i raz na przeciw budynków wycofują się, kładą się na ziemi. UB chodziło po koloniach, bo tam ktoś musiał ^{cyngka} stale dawać. Przyszli i pytają się:

- Nie ma u was jakiegoś wojska? - Był tam taki Sikora. Spojrzał na tak mnie, ale ja twardo mówię:

- Nie ma. Nikogo nie było. - Zabrali się i poszli. Nieraz to rewizje robili w stodole, w mieszkaniach. A raz to tak mnie zrobili. Desc trochę padał i rozmawiają psy mnie gdzie to tam co było, że to tam gdzieś napad był i jeden mówi:

- Pójdiesz z nami niedługo. Zobacysz jak nam się powodzi. } No i napad gdzieś jakiś był i patrzysz UB już blisko za stodołę. Tak nasi te ciężko broń zostawili w stodole, bo to był desc, przyrzucili ją sianem i się wycofują.

- Dlaczego? - pytam.

- Nie zdążym. - A to było zboże duże i wycofali się w zboże. A ja tak sobie dumam:

- Teraz to już myśmę przepadli - ale stoję na podwórzu. Przychodzą ubowcy, jest i Sikora. A on w Dębowie był żonaty z Milewianką. On pochodził gdzieś z Łomży, a jego rodzinę partyzanci wybili, tylko on został. I on taki był na nich zawzięty. No i przychodzi do mnie Sikora i ja czekam, że zara wejdzie do stodoły i sprawdzę.

- Był kto u was? - pyta się Sikora.

- Nie, nie było nikogo. - Patrzy tak dookoła.

- No, idźmy - zdecydował i poszli do Radgosca. Ja patrzę: to my żyjemy! A ja już myślałem, że nie żyję, koniec już. Przychodzą później nasi i ja mówię do nich:

- I co byśta zrobili z nas? Dopierośmy przyjechali z Syberii i co? Maskara by była.

- No, nie zdążyliśmy - tłumaczyli się. Partyzanci, to jak psysli na kolonie, to już myśleli, że bezpiecznie. Nieraz to zobaczyło się ich [UB-ków] jak tylko od Krajewskich wyszli, to pół kilometra, to można było..., a nieraz to już pół kilometra przeszli i wtedy już trudno się wycofać z ciężką bronią, a lasu tam nie było.

Te partyzanty to swoje chłopaki wszystko byli. Zawsześmy się spotykali wieczorem w Zalesiu [kilkanaście lat później], te co byli, ale już powymierali, inni do Szczecina powyjeżdżali.

Znałem i "Madeja" i "Cygana" co dostał karę śmierci. Widział się ze mną w Białymstoku jak ja jechał na sprawę. On na wszystkie sprawy je^zdził, wydawał [ludzi], ale na mnie nic nie powiedział, a przecież ile razy u nas bywał. Pamiętam był odpust w Kleckowie i "Zbych" był tam z jednym. Chyba z Sz^złowiakiem z Szablów Starych. Z karabinem był. Tamten uciekał i go ubowcy zabili, a "Zbych" mówił do mnie, że rzekomo oni [ubowcy] krzyknęli do wszystkich padnij i ludzie padli, "Zbych" razem z nimi a Szablówiak dalej uciekał.

- Oni polecili za nim - mówił - A ja w tym czasie w drugą stronę, wpadł na konia i - przyjechał do mnie na Radgosc - mówi dalej:

- Pats, jakie miałem szczęście - i pokazuje całe portki postrzelane między nogami. Pats, jak nie wieżysz - A czy on sam się postrzelał, czy jemy postrzelali to ja nie wiem. To było w 1947 r. jakoś latem.


(ew)

A co to było z tym wozem, jak on prędko mnie go oddawał ten chłop. Przyszed do mnie "Dziadek" - ten "Bąk" - i ja mówię do niego:

- Wie pan co. Nie chce ja, żeby on beze mnie [przeze mnie] zginął, tylko niech on odda ten wóz. Nie chce, żeby zginął, pies go ganiał. - I "Dziadek" dał pismo i posłał dwóch chłopaków: za 24 godzin u Lipki na podwórku ma stać wóz. - Taak. Migiem go oddał. Ja patrze, a za 2 godziny, rano, on już jedzie konno do mnie. Pyta się:

- Chcesz ten wóz, czy pieniądze ci dać? - A ja na to:

- Słuchaj. Po coś ty ten wóz brał? Ja Krajewskim dał ten wóz i oni mnie by byli oddali, bo to sąsiady, a po coś ty jego brał? Po co ty na cudze lecis?

- Wiesz co - odpowiedział - człowiek całe życie się rozumu uczy i głupi. Mnie wóz ten tak był potrzebny, że... . To przez tego sąsiada, sołtysa. On mnie jego wlepił. Powiedział: Chodź, będziesz miał wóz. 

- Pewnie pół litra jemu dałeś, bo on pił? - powiedziałem na koniec. No, że ja sam sztelmachem byłem i robiłem wozy po powrocie z Syberii, to powiedziałem mu:


- Zapłać mnie pieniądze. - I tak z tego wozu to już nic nie było, jak on go używał przez 6 lat, bo przecież tyle my na Syberii byli. On zresztą dawał mnie i nowy wóz, dawał wszystko co ja chciałem, ale już nie chciałem być już taki dla niego, jak on dla mnie.

A Krajewiak to powiedział:

- "Gnojówki" to ja ci zużyłem, ale oddam nowe.

- Ty mnie nie oddawaj, daj mnie tylko deski, to ja se sam zrobię. - Odpowiedziałem.

Krajewski, ten nasz sąsiad, to opowiadał, że po wojnie Dębowiaki nie dali im żyć. Co tylko jakieś święta: Wielkanoc czy Boże Narodzenie, to przychodzi kilku z karabinami (znał ich, wiedział które, tylko bojał się powiedzieć, już oni nie żyją - to byli: Komorowski Zygmunt, był w moim wieku, i jego kumple) i mówio: świniaka macie przygotować nam za trzy dni. A chłopaki nie znali żadnej organizacji, nigdzie nie chcieli należeć i wszystkich się bali i bojeli się komu o tym powiedzieć. Nie wiedzieli co to za organizacja. A ci z Dębowa należeli początkowo do AK, ale później się AK rozwiązało a oni bronie nie zdali i dużo takich było, co wyszli na lewo w nocy, i kto im udowodni. Ale to się wszystko skończyło, jak my wrócili i wtedy Krajewiaki odżyli.

"Dziadek" z organizacją przysli do nas zaraz pierwszej nocy chłopaki przysli i później przychodzili stale i Dębowiaki już się bojeli do Krajewski przyjść, bo dostałby w cape za 

T

takie coś. Dębowiaki chodzili do Krajewiaków, bo wiedzieli, że ci nie doniosą nigdzie, bo takich co należeli do organizacji, to takich się boje, bo taki to albo by doniósł dla organizacji, albo sam by z za węgla rąbnął w łeb w nocy i już.

Po powrocie do kraju musiałem zameldować się tylko w Urzędzie Gminy. Na milicję nie musiałem iść.

Ja w maju wróciłem a w czerwcu było referendum. Ja do kościoła w Kleczkowie chodziłem i tam byli wybory. Zawsze jak ludzie wychodzili z kościoła, to zawsze ubowce obtoczyli kościół i przeglądali dokumenty [wszystkim ludziom], ale ja miałem dokument repatriacyjny i cały miesiąc mogłem się nim posługiwać i do mnie nic nie mieli. Później jeden z nich łaz na trybunę i gadał:

- Chłopy! Kto należy do partyzantki, ujawniajcie się, nic wam nie będzie. Ja byłem akowcem temu pół roku, a teraz mam stanowisko. - A chłopaki tylko spod oka patrzyli na niego. W referendum to ja wcale udziału nie brałem, bo chyba nie byliśmy jeszcze zarejestrowani, ale nie czepiali się do nas wcale. Ludzie to wcale nie chcieli brać [udziału w referendum], to oni jeździli po wsiach i samochodami brali. My mieszkaliśmy na kolonii, to jakoś omylili nas.

Na wybory w styczniu 1947 r. my chyba nie chodziliśmy. Nie pamiętam nic o tym, tylko ludzie nie chcieli iść. Chyba my nie chodziliśmy. Tu jeszcze partyzantka działała, jeszcze ubowce tak na wsiach..., to nic nie widzieli, jeszcze niebezpiecznie dla nich było. A później, już w 1948 r. to oni się wzmocnili, chodzili grupami.

Organizacja to straszyla tych ludzi, co to ziemię brali z reformy rolnej i takie gospodarze lepsze nie chcieli brać, tylko szło takie słabe, dworskie... Do tych dworskich, co to we dworze byli, to nic nie mieli, bo oni tam pracowali i im [komuniści] dawali najwięcej. Później reszta, co zostało, to takim biedniejszym dodawali. Nie powiedziałbym, że z dworskich to najwięcej komunistów się wywodziło, bo oni się nie miesza. Te stare ludzie to się boje, ostrożni byli. Przeważnie [do komunistów szło] najwięcej takich mądrałów, kombinatorów. A później, jak się dowiedzieli [organizacja], to dali mu w skórę, to jego żona przysłała do księdza [i lamentując skarżyła się]: on nie należy nigdzie, pobili mnie męża.

- Jak ksiądz wierzy tym babom - mów do niego. A to baby się najdo i plotki gadają, a łon im wierzy.

Jak psyjechałem z Syberii, to jeszcze raz złożyłem psysięgę. Odbierał ją ode mnie "Dziadek". To był jeden z jantwardszych Polaków tak samo jak i ten Niedźwiedzki. On powiedział, że nigdy broni nie złoży dopóki komuna w Polsce.

- Zgine ale broni nie złoże - powiedział. Często nocował u u mnie. Raz przychodzi wieczorem, szarówko już, jakiś chłop w cywilu, koło pięćdziesiątki i pyta się:


- Tu jest Febrowski? 

- Ni ma nikogo. - Psy zaszczekali, a "Dziadek" siedział w mieszkaniu. Jak ja wyszedł, to "Dziadek" pistolet w rękę i za drzwi w sieni. Ja rozmawiam z tym chłopem, ale mnie nie mówi, co on za jeden a to był zza Białegostoku, nad "Dziadkiem" był dowódca. No i rozmawiamy, a "Dziadek" usłyszał jego głos, poznał i patrze, a "Dziadek" wychodzi zza drzwi i wita się z nim. Poszli do oddzielnego mieszkania. Gdzieś po dwóch godzinach poszedł. Później pytam "Dziadka", kto to był, a on mówi:

- To jest nasz dowódca Okręgu. - Chyba że "Błękit" się nazywał.

Jak była amnestia w 1947 r. to ja rozmawiał o niej z "Bąkiem" i "Zbychem", ale o ujawnieniu to z nimi nie było żadnej mowy. Powiedzieli, że NSZ się nie ujawnia, AK tylko. No, kto mało chodził już później jak było słabo to się ujawniał. Do oddziału to brali tylko samotnych, a kto miał rodzinę, to go puścili do domu. I to coraz więcej było komunistów na wsiach i trudno było się utrzymać. Zabili jednego, bo podejrzeli, że komunistą, ale [to nic nie dawało i] coraz gorzej było.

A teraz jakie te ludzie mądre są, jakie mocne. Jak ja zajdę do Chomentowa - tam kiedyś to wszystko było partyzanty - a teraz oni wszystkie gadają na partyzantów. Dlaczego wtedy nie gadali, tylko teraz jak ich nie ma? To nie honor chłopca gadać na swoich jak ni ma, nawet żeby byli najgorsze. Dla swojej rodziny to tak się nie robi, to przecież organizacja to się liczy rodzina.

"Dziadek" to się przyzwyczaił do tej partyzantki i się nic nie robił. Tako szedł na śmiałego. Ja jeszcze wtedy nie był żonaty, bo się ożenił w 1947 r. na jesieni. Toż ja wtedy przeszedł do Mężenina i "Dziadek" znowu tu do mnie zachodził. Wiadomo, stary znajomy. Jak tylko coś  śle, to tylko do mnie. I później taka zdrada powstała.

W 1948 r., w 1949 to "Dziadek" tylko z synem chodził, bo powiedział że do "Zbycha" nie ma zaufania, podejrzenie miał do niego. Mówił, że raz się z nim "Zbych" widział, ale:

- Ja kazał - opowiadał mi - synowi z dala stać i pistolet trzymać w rękę, bo to rozmaicie może być. - To chyba było jakoś na początku 1948 r., styczeń, cy... .

- Ze mną rozmawiał krótko - opowiadał dalej "Dziadek" - i nie chciał długo rozmawiać, i powiedział że jeszcze się raz spotkamy. Później mi ludzie donosili - mówi "Dziadek" - że jego ktoś kontaktuje [z UB]. - A to miał go kontaktować Franek [Głębocki] i jakaś kobieta.

- I "Dziadek" chciał "Franka" sprzątnąć, ale nie mógł do Zambrowa się dostać. Aha, pod Tabędzem, na kolonii, jak się jedzie od lasu, to mieszkał jeden człowiek. Co "Zbycha" chciał kontaktować z ubowcami. To "Dziadek" mnie mówił.

Bardzo podobnie wydał to ten Łuba Czesław z Mężenina. Niechący wydał. "Dziadek", to był jego żony kuzyn. On ["Dziadek"] tam i na Grabowie przebywał, w Olszynach i u nich w domu. Później na jesień przesed do mnie. Ja jemu mówił, żeby on ostrożniej z tym Cześkiem, bo on lubił dużo mówić, żeby Łuba nawet nie wiedział, że "Dziadek" jest u mnie, no ale ja on ["Dziadek"] przesed z nim do mnie. No i "dziadek" siedział u mnie pare dni. Wtedy akurat Zakrzewski Tadek przesed z więzienia. Jego i dwóch kolegów złapali z bronio jak na rowerach jechali z Nadbora jako wywiad i ktoś ich udał do UB, i ubowce złapali jech z granatami, z bronio, ze wszystkim. Był chyba u "Dziadka" i "Zbycha". Sądzi go w Warszawie, bo Piski należą do Ostrołęki, a to już było województwo warszawskie i dostał 10 lat. Odsiedział 4 lata a 6 mu amnestia zdjęła. Wszedł chyba we wrześniu. No i "Dziadek" był u mnie, no przesed do stodoły, bo to stary kumpel. Tam gadaliśmy nieraz z tym "Dziadkiem" o Tadku. Potem i Łuba Czesiek był z tym "Dziadkiem", ale każdy liczył, że to tylko take spotkanie. Później, bardzopodobnie, że chyba Łuba pożyczył u "Dziadka" pieniędzy. Nie wiem ile, mnie "Dziadek" mówił. No i "Dziadek" mówi do mnie:

- Wie pan co. Dzisiaj Łuba pojechał do Zambrowa sprzedać krowe, odda mnie pieniądze i ja na pare dni wyjde, bo w razie tu UB... .

- A później za pare dni pan przyjdzie? - Bo to nieraz tak było, UB wpadnie, a ni ma nikogo, znaczy się ze ^z \$le im gadali i więcej mogo nie przyjść. Tak nieraz wszędzie było. A Łuba Czesiek pojechał do Zambrowa, sprzedał krowe. A tam w Zambrowie mieszkał Głębocki Franek. Jego brat Janek "Brzytwa" to chodził ze "Zbychem" a Franek chyba był najpierw w AK a później bardzo podobnie w partii. Chyba że go ubowce wciągnęli, bo on w Głębozcu najpierw mieszkał i NSZ [NZW] chciało go zabić. To coś tam było podejrzane. I on uciek do Zambrowa i zara dali mu tam mieszkanie, bo pracował z nimi. To opowiadał mi jego brat Janek, bo siedział razem ze mno. I mówił, że Franek z ubowcami do niego psyjezdzał do więzienia. Franek i Janek to nasze takie dalekie kuzyny ze strony żony. Jej matka pochodzi z Tabędza i jakieś ciotecne so. Aniela Jastrzębska, żona brata "Zbycha" to ciotka mojej żony. No i jak Franek spotkał się z Cześkiem Łubiakiem w Zambrowie, po tym gdy ten sprzedał krowe i mówi do niego:

- Czesiek, chodź na pół litra. - A Czesiek myślał, że Franek to nadal ten sam Franek co to był kiedyś w AK i siedzieli se w restauracji i pili. No i podobnie Franek go sie spytał:

- Ty, gdzie so te moje, wies o kim mówię? - No i Czesiek musiał powiedzieć, ze so u mnie. I ten podobnież zara zadzwonił i juz z wiecora psyjechali do Mężenina. Jesce Czesiek nie przyjechał z Zambrowa, bo pojechał do Śledzi, do siostry, to już UB było w Mężeninie, obtoczyło. Później, już po wyjściu z więzienia pytałem się Czeška:

- Ludzie wiedz, że ty powiedziales w restauracji... - Czesiek jednak zaprzeczył:

- Ja z nim [z Frankiem] nie gadał. - Ale w restauracji siedział z Jemielitego Sierzputowiak Adam (kombatant z wojny 1939 r.), a on znał i Czeška i Janka, no i opowiedział mnie co widział. Nie słyszał o czym rozmawiali, ale widział. Jak z tego wynika Franka pewnie ubowce samochodem przywieśli, zeby pokazał im moje budynki, bo oni same nie wiedzieli, gdzie my mieszkamy. Tak przypusca Tadek Zakrzewski, ze to pewnie jego robota, a Tadek w Mężeninie, to mój sąsiad.

Jak to z "Dziadkiem" było? Był u mnie pare dni i - jak mówiłem - miał na pare dni iść gdzieś, gdy to ten Czesiek Łuba pojechał do Zambrowa krowe sprzedać. I tego wieczoru - 3 grudnia 1949 r. - "Dziadek" bardzo podobnie w Wypychach był, a jego chłopak był sam u mnie. I jego ojciec psysed na wiecór do mnie, jescem rozmawiał z niemi. Tylko sie ściemniło, my kolacje zjedli wchodzi UB do mnie, do mieszkania. Ten ich szef gruby, taki carny, w cywilu, reszta w mundurach. I mówi, że:

- U ciebie w stodole jest Łebrowski z synem. Dwóch bandytów.

- Nie widziałem takich w stodole - odpowiedziałem.

- Jest - powiedział pewnym siebie głosem. - Słuchaj - mówi - i zabrali mnie do drugiego, pustego, mieszkania.

- Powiedz gdzie oni so, my ich złapiem i ciebie wcale nie będziem brać. Nic ci nie bedzie.

- Prosze pana, zeby ja wiedział, gdzie on tam je, to ja bym naprzód panu powiedział, ale jak ja nikogo nie widział, to co ja moge?

- Co ty... . Jeest u ciebie!

- Ja nie widziałem nikogo. Ja stodoły na noc nie zapieram na kłódki, trzeba sie upewnić, ale nie widziałem nikogo.

- Powiedz, to uratujes sytuacje, a tak to zgnijes w więzieniu, a jak nie to jescce ciebie zabijem.

- Nie widziałem nikogo - upierałem się dalej - i nie mogę powiedzieć, bo jakem nie widział skąd...?

- Dobra, stawaj pod ścianę. - Stałem pod ścianę, a ubek mówi do żołnierza:

- Odciągnij automat [zamek Pepeszy] - i do mnie - Ja będę licył. Pamiętaj, żeby ja nie powiedział trzy. Jak ja powiem trzy, to już choć byś chciał, to nie powiesz. - I liczy:

- Raz - ja stoje - dwa - ja stoje i czekam kiedy powie trzy. Przepadło, wola Boska, ale nie mówi trzy. Trochę tak odciągnął. Ja patrze na niego, on spojrzął tak na żołnierza i mrygnął do niego. Ten opuścił karabin. Tera ubowiec wyjmuję zesyt:

- Podpis się, że jego ni ma.

- Ja się podpisę, że jego nie widziałem w stodole - mówię i podpisuję się.

- To skurczysyn - mówi ubowiec do żołnierza.

Kazali mnie psa zara wziąć, bo pies czekał.

- Tego psa zawołaj, bo oni uciekno w nocy. Dawaj go tutaj - i psa do komory wsadzili. To była już jakaś 11 godzina i przychodzi żołnierz i melduje:

- Obywatelu - jakoś tam go nazwał - wyszed jakiś chłop ze stodoły dzickami [przez drzwi, wrota].

- Jak wy pilnujete?! Gdzie posed?

- Posed w ścianki, ale on nigdzie nie pójdzie, bo tam wszędzie obtocone. Nie mogłem go łapać, bo jeden wyszed. (A później jak ja się zgadał, to był Tadek Zakrzeski. Jak mnie mówił, to chciał z nimi nocować, ale "Dziadek" powiedział: Ja nie potrzebuje żadnych kumplów na noc. Zabieraj się i idź do domu. - I ja posed - opowiadał Tadek - Całe szczęście, że mnie wyгнаł). No, wtedy o tym to ja nie wiedział i tak się dumał: Jak wyszed jeden, to wyszed i drugi, to znaczy, że tam już ich ni ma. Niech oni do stodoły Zakrzeskich dojdą, to już dobrze. Ja był pewien, że jech ni ma i twardo stoje.

No i cały czas tsymali mnie w domu, do rozwidnienia, bo się bojeli że w nocy to on ma szansę do uciecki. Oni siedzieli na ławce, a ja stał cały czas. Wtedy jeszcze był młody chłopak, to co tam dla mnie. Ręk nie kazali podnieść do góry. Gdy rozwidniło się powiedzieli:

↳ - Chodź. - Ja wyszed z nimi. Patrze: między stodoła a domem, pod parnikiem stoi karabin maszynowy, za chlewem stoi z automatem. Musiałem iść do stodoły.

- Tylko który z nas zginie, to ty nie wrócisz stamtąd - powiedział do mnie szef UB. - Ja ich minął, poszed do stodoły, na jedne klepisko wszedłem, zajrzałem do zasieki - no, nie zaglądam

tam gdzie oni leżą - patrze na drugie klepisko i mówię:

- Ja ich nie widzę - ale to tak głośno mówię, żeby wszyscy słyszeli - Nie widzę tutaj nikogo. - A ten szef UB stał za węglem i krzyknął:

- So! Roztwieraj wierzeje! - Ja poroztwierał wierzeje a ten szef UB mówi:

- Wychodzić ze stodoły, bo podpalamy budynki. - I tu odzywa się "Dziadek" takim donośnym głosem:

- Tak jest. Wychodzimy. - Już widać, że oni się ubrali i wszystko. Wybryknęli z tej słomy, na klepisko koło mnie się spuścili. "Dziadek" miał 2 pistolety, a ten drugi [jego syn "Konar"] miał żelazny automat, na piersi naboje. I biegnę za stodołę. Ja stał, nic się nie odzywałem. Zasmucony, bo miał nadzieję, że ich nima. I dopiero zaczęła się strzelanina. Ja wyskoczyłem ze stodoły i układałem się w taki dół, bo co to długo - zabij. Patse: moja stodoła już się fajcy i sąsiada stodoła już zaczyna [się palić]. Patrze: "Dziadek" wyleciał i biegnie w kierunku olszyny, i syn wyleciał. Nareście te z podwórka grzejo do nich, syn zachwiał się i krzyczy:

- Tato! Jestem ciężko ranny - i zwałił się na ziemię, tak jakby śmiertelnie [był ranny]. To było ode mnie jakieś 15-20 metry. "Dziadek" zara się wrócił, ukląkł przy głowie syna, przeżegnał się, przystawił mu pistolet do głowy i dwa razy strzelił. Tamcie jeszcze krzyceli do niego:

- Nie bij się! - a "Dziadek" se przytknął [strzelił] w głowę. On był twardy. Krzyki dla niego nic nie znaczyły.

Bój się skończył. Ja wstałem. ^Z żołnierz podleciał do mnie z automatem i krzyczy:

- Ty skórwysynu, mówiłeś, że ich ni ma - i tem automatem chce mnie rąbnąć w głowę, a ja grab za to lufę. To żołnierz rzucił automat, odskoczył i za pistolet, a ja zostałem z karabinem w ręce. No, ale potrzeba, że niedaleko stoi szef UB, dalej reszta z karabinami co to ja tu będę. Gdyby on był jeden, to co innego, no to ja wziął ten automat rzucił. Wtedy szef ~~podse~~ podse i mówi:

- Aresztować go z miejsca. Nie puścić do mieszkania.

Wojsko szło na stację, a mnie prowadzili za wojskiem. Na stacji chyba 3 samochody stali. Wojsko w cwórki. A z tyłu podlatali do mnie - jak mnie prowadzili - i kopali mnie i cały czas mówili:

- Ty skórwysynu, bandyto, mówiłeś że go nima. - Gdy zaszli my na stację podjechał samochód. Wtedy podbież Tadek Zakrzeskiego wołali (Tadek był krawcem, szył) i wtedy był u niego taki jeden z Ratowa, co mu ubranie szył, to jego wołali i młodszego brata Tadek -

Tolka.

- Zabiliśmy waszego kolege. Idźta i wrzućta - powiedzieli do nich. No i Tadek kład ich na samochód i widział, że syn "Dziadka" miał wyrwany z tyłu kawał głowy, po tym jak ojciec do niego strzelił, a "Dziadek" też z boku miał wyrwane, jak sobie strzelił. Syn chyba był gdzieś po nogach postrzelany, bo krew sie lała.

Mnie sledztwo dwa razy trwało. Moje trwało może z miesiąc, a później było śledztwo Tadka Zakrzeskiego.

Jak mnie aresztowali i mego teścia, to nas na UB w Łomży na Nowogrodzkiej omyłkowo wsadzili do jednego karca - do celi wsadzili dopiero później - bo teść sie nazywał Olszewski, a ja Lipka. Karców było chyba dwa. Oni arestowali duzo ludzi i te co sadzali po celach, to sie pogubili, dzięki temu to i teść by był siedział potem. Wszystkie cele byli zapełnione. Ja sie do nicego nie przyznawał tak jak i tu. Słyszałem jak teścia bili, bo ja siedział jak raz pod tym pokojem, gdzie go bili. No i raz w nocy teść przychodzi z tego śledztwa i mówi:

- Ty, ja pójde powiem, że to ja wszystko..., a tym nic nie winien i ciebie pusco, a ja posiedze. Ty młody, to...

- A to nie gada nic, bo mnie i tak nie pusco! - krzyknąłem do niego. Młodego, to nigdy nie pusco. Niech sie wcale nie prziznaje, bo bedziem łoba siedzieć, bo juz Czesiek na mnie gada. Ja tam byłem i Czesiek staje mnie na łocy. No to co, mnie pusco? - A teść nie wiedział o tym wszystkim co sie działo u nas w domu, bo ja jemu nie gadał, bo jak jest sie w śledztwie, to nawet żonie sie nic nie gada. No i teść posłuchał sie mnie. Naraz wołajo teścia na górę. Przychodzi za pare minut i mówi:

- Wiesz co, pusco mnie do domu.

- Dlaczego?

- Zaczeli mnie bić, a przysed szef UB, popatrzył sie i mówi: To ten z Mężenina? Tego starego puśtta, bo tam baby zostali same z dzieciami, tego młodego wystarcy.

- Widzis, a zeby tak sie prziznał, to by siedział? - A dziadek tak sie cieszył, ale zeby ze mno nie siedział, to by było inaczej. On nie miał tych smykałów... . Cztery dni siedział, ale mówił, że jak go puścili z tego UB, to szed Franek Głębocki ulico - akurat był w Łomży - i chociaż dziadek [teść] jego kuzyn, szwagier był dla dziadka, to spojrział na dziadka i roześmiał sie. Nic sie nie odzywał, zadowolony był.

Jak teścia wypuscał ten z góry, to przised i patrzy: ja siedze [w tym samym karcu]. I mówi:

9 - To skórwysyny, oni ich wsadzili łobuch razem. Jakie to było śledztwo!? - ale tamten nakazał już puścić teścia i do widzenia. I dziadek na tym skorzystał.

Na śledztwie cały czas lali. Brali tylko w nocy, nieraz trzy - cztery razy w nocy. W dzień nie brali nikogo. Przysiady kazali robić. Tam był taki stołek-taboret, odwrócony do góry nogami i przykręcony blatem do podłogi, to kazali siadać na nodze i bili. Najpierw to gumo bili, ale ja złapał za gumę, to drugi odskoczył.

9 - To taaak? - sie zdziwił. Później drugi raz mnie zawołali i jak nie sięgnę mnie lufo od karabinu i łomem po plecach, po krzyżu, to do dzisiaj trzy kręgi mam pogniecione [zmiażdżone]. Potem jeden rąbnoł lufo pistoletu w policek, to do dziś szrama została. Nazwisk śledczych nie znam, ale bardzo podobnie byli to Żydy. Ale ja im i dawał jak mnie bili:

- To taak w Polsce sie robi, że brat brata bije? Jak byłem na Syberii, to jak Polak z Polakiem sie spotkał, to sie całowali, nie patrzyli skąd on je, a tutaj mordowanie idzie, bice.

- Zakrwawiony jestem cały ale gadam jem. To ten co pisał troche sie tremował, a te co bili, to nic. Specjalnie dobrali takich chłopów.

- Jesce przyjdzie i na was kolejka - ja mówie - ze i was będą tłukli.

- To będą i mas - i dalej tłukli mnie, jesce bardziej - A nam nic nie zrobis, my lejem i juz.

- Tak mnie mówi i co im zrobis. Wyzywajo od bandytów, ale lico sie inacej z człowiekiem, jak człowiek jest taki pewny i uparty. Nawet i łoni sie inacej lico z takim a za nic majo tego co gada. Oni go chwalo, ale później za nic majo. Ja spraktykował to w śledztwie. Jak u mnie w domu groził, ze strzeli do mnie, a potem - jak nic nie powiedział - łopuścił karabin, ja spojrział na niego, [i widzę] że on inacej mnie ocenił zaraz. Pewnie gdyby chciał mnie zabić, to by zabił, ale mu widocnie nie pasowało.

12
2x
Tadek Zakrzeski tez wlaż [w łapy UB] przez Czeska. Jak to było? Czesiek jest w Łomży na śledztwie, a tam siedzo te z łebrow - taki łebrowski, Drzydz sie nazywał, murarz, był w partyzantce a później jego podrobili i wzięli do UB, i on im donosił. I Czesiek siedział w jego celi - tak gadał do mnie - przyszed z góry i ówi:

- Dajo mnie, to dajo...

- I mnie dajo - odezwał sie łebrowski - ale ty sie trzymaj. Ja to im dużo rzeczy nie powiedział... .

- I ja nie powiedział - mówi Czesiek.

- a co?
- Tadek Zakrzeskich bywał [u Lipki], a ja nie powiedział. - Za godzinę czasu wołają Czeška!
- Ty, a co ty o Zakrzeskim nie gadał? - i lanie jemu. No, to skąd się dowiedzieli.
- Takem się wypowiedział koledze - mówi do mnie Czesiek. No i Czesiek przyznał się, ale ubowce szukają dwóch świadków. Zaraz Tadka przywołali, ale Tadek się nie przynaje.
- I tak ciebie osądzim - mówią do niego - dwóch świadków znajdźmy i dyche dostaniesz, boś dopiero przyszed [z więzienia]. - Pytają się Czeška:
- Kto był razem?
- Lipka był razem w stodole. - A mnie wołają tylko na moje śledztwo a ja nic nie mówię, ani o Czešku, ani o Tadku, ani o niczym, tylko o sobie, nic mnie nie obchodzi. Wołają mnie:
- A Zakrzeski to co, nie był razem z wami?
- Nie.
- Znasz Zakrzeskiego?
- Znam. Sasiad mój. W stodole ja go nie widział. - Zrób sobie psypomnis. Otwierają drzwi i wychodzi Czesiek.
- Ty, toś Tadek razem z nami był - mówi do mnie.
- Ty się łódcep cholero ode mnie - mówię - Ja żadnego Tadka nie widział.
- Był? - pytają się jego znowu.
- Był, był - potwierdza Czesiek. Zabrali go.
- Podpisuje się czy nie?
- Jak ja się podpisuję, jak ja go nie widział - mówię do nich.
- On widział, żeś był razem.
- Mu się w głowie pomieszało - mówię do ubeka - on już klepie tego co nie było wcale. Nie mogę się podpisać i już. - To oni kilka razy wołali mnie na górę. I lanie.
- Panie - tłumacz im - ja nie mogę się podpisać, bo on [Tadek] nie był. Ja do prokuratora chcę. - Puścili mnie do prokuratora.
- Czego chcecie?
- Panie prokuratorze - mówię - Oni chcą żeby ja świadczył na tego człowieka, a ja go wcale nie widział, jak ja jego będę świadczył?
- Dobrze, dobrze, widzieliście jego.
- Chyba bym widział, to bym podpisał, ale ja go nie widział i nie moje sumienie na jego

gadać. - No i zaniechali mnie wreszcie pytać o Tadek. I tylko jeden Czesiek Łuba został na niego. Potem wolali go na świadki a Tadek chwycił go za gardziel przy tech ubowcach:

- A ty skórwysynu, ty mnie widział? Pretensje masz? - i dusi go, a to był chłop sztywny. Byłby go zadusił. ale ubowce zerwali sie, odbronił i zabrali go zaraz. I później tak chyba pomyśleli: A może i Lipka ma i racje kiedy ten sie nie przyznaje?

Później, kiedy Czesiek podpisał, przywieśli ich do Białegostoku, a tam wszystko partyzanci siedzą w więzieniu i Czeška chce zabić, że wydawał ludzi, a w więzieniu kropno w łeb w nocy i koniec. On bardzo podobnie z płacem ukłak, że na sądzie sie wyrzeknie. I wyrzek sie na sądzie, ale sędzia mówi:

- Dlaczegoście tam przed prokuratorem mówili? Bili was, to trzeba było do prokuratora iść i powiedzieć, że was bijo a niesłusznie. - Jednak coś wiedział sędzia o tym. I Tadekowi z przypuszczenia tylko półtora roku dali.

- Półtora roku to ja i na kiblu przesiedze - powiedział Tadek. I do dziś dnia łon nie rozmawia z Czeškiem, chocia ten juz słaby, a Czesiek mówi na niego, że to Tadek wydał.

- Zebym był dostał dyche, to pasowało by mnie tylko powiesić w więzieniu - powiedział Tadek. Raz dostałem dyche, i drugi raz byłby, to jaki żywot byłby? Kiedy ja byłby na wolności? Nigdy.

Ja mówię do Czeška:

- Czesiek, po co ty gadał?

- Słuchaj, ja nie chciałem powiedzieć. Powiedziałem jako do kolegi, do tego Jębrowskiego.

- Tak to jest w śledztwie.

Dostałem 5 lat. Pistolet znaleśli w stodole i chcieli mnie wpisać, że to mój, ale ja powiedział, że to nie mój. Targowali sie długo. Później nareście został tak ni tu, ni tu. A żeby mnie go dopisali, to bym dostał dyche najmniej. Sie należy do organizacji, to też powiedziałem, że ni ma zadnej. To też zara trochę większy wyrok - wiadomo. Śledztwo trwało cały czas w Łomży, potem jak przewieśli do Białegostoku, to juz nie. Jak mówili ludzie, to podobnież w 1945 r. i tu i tu robili śledztwo, a w 1949 r. to juz trochę inaczej było.

Jakoś wtedy wybuchła wojna w Korei, no to juz wszyscy więśniowie mówili:

- Juz sie kończy niedługo. - To tak który przysed pod cele z wyroku. To pytajo:

- Ile mas?

- Pięć niedziel palmowych - ten ma dziesięć, ten piętnaście, lata licyli na niedziele palmowe. No i mówi na to:

- My wszyscy razem wyjdziem i ten co ma piętnaście i ten co ma pięć. Widzisz wojna jest w Korei. - Każdy sie cieszył. A dla więźnia to było duzo, choć nie wyszed ale nadzieja była.

I tak popatrzyć, to chłopaki wszystkie żyli przyszłościu, bo inacej to by sie załamał.

Pamiętam, że ze mno siedzieli: Modzelewski Stasiek ze wsi Łuby-Kiertany spod Miastkowa, z Łodzi siedział krawiec, to mnie uczył krawiectwa pod celo jakeśmy mieli czas.

- Bedziem dłużej siedzieć, to ty wyjdziesz krawcem, tylko musisz jechać ze mno do Łodzi.
- On mnie polubił.

Po wyroku trafiłem pod łogólno cele. Tam siedzieli wtedy tacy sami jak wszyscy - partyzanci. U wszystkich głowy pogolone. Jak do Wronek mieli nas odwozić, to dali na łogólne cele na noc i chłopaki cało noc śpiewajo wszystkie partyzanckie piosenki. Zara zjawił sie nacelnik i mówi:

- Dlaczego oni chałasujo tam? - No i zara przysed [strażnik] i mówi:

- Cisa musi być.

- Na co ty nam sie zdał! - zaceli ksyceć arestowani - My dzisiaj jedziem i guzik nam zrobis
- i cało noc śpiewali piosenki, jakie tylko kto wygarniał. I słychać jak strażnik tłumacy sie:

- Ja jem nic nie moge zrobić. Co ja im zrobie? Jak tam ze dwiestu chłopa.

- Ja wam tam wydam łopinie do Wronek dobro - zagroził nacelnik, ale my dalej śpiewamy.

Powsadzali nas w wagony towarowe, ileś tam tych wagonów było, żołnierze dookoła, pozamykali nas no i zawieśli do Wronek, a tam od stacji do więzienia, to chyba z pół kilometra. Obstawili wojskiem wagony i wypuścili nas. Potem ustawili w cwórkach i gonio. Jak sie idzie do tego centralnego więzienia, to jest taka ulicka. Tam stoi taka brama wielka jak ta nasza remiza, tylko wąska i pise takimi carnymi literami: Centralne Więzienia Karne. I ten łoficer mówi do nas:

- Tutaj wpuscajo, a stąd tylko wynoso. Tu na swoich nogach nikt nie wychodzi. - Kazał nam uklęknąć, pocałować ziemie.

- Bo to łostatni raz oglądacie ziemie polsko. - Jedne chcieli klękać, drugie nie chcieli, sie śmiejo. Brame roztworzyli i wpuscajo nas bramo dwójkami na plac. Na placu rozstawione so funkcjonariuse.

- Rozbierać sie wszystko do naga! - pada rozkaz. A ze mno jechał z Modzel taki Skudoski, stary dziadek, sześćdziesiąt pare lat. To w więzieniu przyznał się, że to mój stryj, bo to teścia kuzyn i ja go troche bronil, bo go tam nieraz chcieli bić czy coś - jak to w więzieniu. To ja

do kaleson
nie

za nim obstawał, to on sie mnie pilnował. No i wpadliśmy na ten plac, rozebraliśmy sie do naga i rewizja, i przysiady. No, co tam robić to rewizje, ale robio, naumyślnie.

- Na komende: raz, dwa, trzy oblec sie [ubrać się]. - pada komenda, ale te raz, dwa, trzy to było migiem powiedziane, tak że ja zdążył ledwo kalesony założyć, a resta...? Dziadek ledwo założył jedno nogawke kalesonów.

- Biegiem - pokazali korytarz do centralnego więzienia. Dziadek sie mnie pyta:

- Co ja mam robić?

- Pod pache reszte i idziem - no i to nogawke też pod pache wasadził i idziem, ja w kalesonach. Wpadamy w brame, a tam z jednej strony stoi z pasem i z drugiej, w szeregu stojo te funkcjonariusze więzienne i lejo tymi pasami. Ja patzre: przede mno lejo jednego, tłuko, to ja se dumal - pod drugich podlatuje, tamten sie szykuje na mnie, a ten nie, to ja raz i w tył zwrot.

- Skurwysynu! Ja ciebie jesce popadne! - pogroził ten, co mu uciekłem spod pasa - ale juz poleciałem. Nie siegneli mnie. Teraz znowu na korytarzy pasy białe i carne, a strażnicy krzyco:

- Nie po carnym! - ktoś skręcił na białe - Nie po białym! - krzycy teraz strażnik. Wreście nie wiadomo po jakim koloze iść.

Wreście wpuścili nas pod cele. To takie pojedynki we Wronkach, ale że dużo więźniów, to sześciu nas było. Patrzym: taka szafka wisi, takie talerzyki płytkie, ale do czego te talerzyki i taka micha duza stoi na stole. Do czego to jest? Bez wizyterke co raz zagłada strażnik. Na obiad roztwierajo drzwi. Jakoś grochówke chyba dawali z konicyno biało, ale my nie wiemy co tam dać, bo tam jesce nie byliśmy. Talerzyki sie nie nadajo do zupy, to my raz to miche podstawiamy, a to podobniez była micha do mycia. Zupe rozlewali take wysokie chłopy. Patrzy sie jeden na drugiego i... lejo nam w to miche sześć porcji. My jo wzieni, postawili na stolecku, obsiedli dookoła i jemy, a ten bez wizyterke zagłada i sie śmieje. Zjedliśmy z tej michy, ten [strażnik] roztworzył drzwi i pyta sie:

- Co, wy jesce nie siedzieli tu w więzieniu?

- Nie.

- Jakie macie wyroki?

- Po pięć lat, po sześć.

- Ta miska to jest do mycia, a nie do jedzenia.

- To w cym mamy jeść - i pokazujemy na te talerze.

- A kto je wam włożył. Dostaniecie większe miski. Dawajcie. - mówi tak - musicie wybrać komendanta celi. U nas tak jest: jak wchodzi się do celi, to komendant melduje.

- Ale jak to wybierać?

- Ty będziesz komendantem celi- wskazał na mnie - i ja ci zaraz powiem. Będzie chodził wyższy funkcjonariusz, to musisz umieć się znaleźć. Ja roztwieram cele, a ty krzykniesz: hacność! Stajecie pod oknem wszyscy i meldujecie: obywatelu oddziałowy, celi numer..., stan sześciu więźniów. Zaraz ja przyjdę i sprawdzę. - No i zamknął drzwi, potem otworzył, ja mu zameldowałem.

- Dobra. W porządku. - Talerze nam zmienił. No i tam posiedzieliśmy tam z tydzień i wyganiają nas na spacer. Ręce do tyłu i pięć metry jeden od drugiego.

- Chodzić. - Ale u nas byli i chuligany pod celo. Jeden mały a drugi duży. Ten duży to jakiś dobry chuligan, bo mówi do tego małego:

- Daj mnie swoje spodnie, a ja ci dam swoje.

- Ale moje to za długie będą.

- To zawiń nogawki. - No i wziął tego małego spodnie i ma tylko do kolan, a dalej kalesony widać. I idziem bez pacierza. Wyszedł szef więzienia, stoi i przygląda się, a oddziałowy nas gania.

- A tamten, to jakie spodnie dostał!? - krzyczy naczelnik pokazując na tego dużego, a oddziałowy nic nie wie i krzyczy:

- Zmienić mu spodnie! - Ale szef więzienia woła tego dużego:

- Chodź no tutaj. - On podchodzi do niego i mówi:

- Tak jest panie komendancie.

- Dlaczego nosisz takie spod...?

- Tak jest panie komendancie.

- Dlaczego nie wymieni..?

- Tak jest panie komendancie! - Nie daje mu dokończyć za każdym razem.

- Dajcie mnie wręczcie coś powiedzieć! - wydziera się już na niego naczelnik

- Tak jest panie komendancie. - W końcu naczelnik machnął ręką i mówi:

- Macie zmienić mu ubranie. - Przyszedł do celi i się odmienili oba. Stażnik przychodzi z ubraniami i mówi:

- Kto mi tu ma ubranie?

- W porządku mamy.- No, nieraz tak zagrali strażnikom na nosie, że..., ale i oni nam grali

na nerwach. Nieraz przyjdzie mówi:

- Brud u was w celi. - Wyjdziem na spacer, wracamy, a tu pełno wody. Nalał skubany. I co. Trzeba to wode zbierać szmato. Drzwi byli na zawiasy, to tak sie błysceli jak lustro. Więśniowie musieli czyścić co dzień. A nieraz jak mu sie nie podobało, to jak był spacer, to on roztworzy dwadzieścia celi, stał na środku i krzyczy:

- Spacer wystąp! - to wszystko miało wyskoczyć i stojeć pod ściano [na korytarzu], a kto sie spóśnił, to z powrotem. I tak ze trzy, ze cztery razy. To dla nas młodych, to było nic, ale który był stary, miał sześćdziesiąt pare lat, to miał sie, a my tylko sie śmieli. On nas mordował, a my stajem i sie śmiejem.

- Ja was, skurwysyny, pośmieje - groził zły.

W celi ze mno siedział taki jeden student ze Szczecina. Tam była rozruba. Jakoś ruski żołnierz i kolejowy żołnierz sie zadarli. Popili i ten Ruski zaczął strzelać do niego, i ten do niego. Niedaleko stało wojsko polskie i ruskie. Z tej draki ludzie za bruk rwali i tłukli sie. No i studenci wyszli.

- Za coś dostał. - pytam sie go.

- Bo wpadłem do klubu, tam Stalina wisiał. Ja wyrwał noge ze stoła, powiedział: A ty skurwysynu, ty jescze tu i rąbnołem go nogo na tej ścianie. No i mnie oskarżyli. - Dostał 2 i pół roku.

Posiedzieliśmy tam z pół roku i do kopalni nas. Kopalnia glin ogniotrwałych "Jarosów". Tu pracowałem ze trzy lata, do wyjścia. Robota parszywa. Kopalnia odkryta, to jescze jak pogoda była, to jescze, ale jak zima, desc, to nieraz całem sie zmokło. Te gliny my musieli ciąć i na wózki ładować. Stamtąd odsyłali jech, do huty. Ja chyba ze dwa lata, to nosiłem line z góry na dół. Na górze stojeli motory, wózki na dół spuscali i na dole tory byli. Około torów cieli te gliny, rzucali na wózki i wyciągali je na górę. Tam sortowali, przychodzili wagony, przeładowywali i szło to na cały kraj.

Raz jak złapał mnie ischiasz, bo to miałem w śledztwie ten krzyz pobity, to ja z kopalni nie móg przyjść, bo mnie i nogi i wszystko..., to mnie ledwo jakoś przyciągnęli i zabrali do szpitala we Wrocławiu. Tam na Klęzkowskiej był więzień centralny. Tam w szpitalu poleżałem. Lekarz powiedział:

- To nie wylecy pan prędko. To jest choroba przewlekła, ma pan krzyż uszkodzony... - Podleczyli mnie troche i z powrotem do kopalni. Dali mnie lżejszo robote, do kuśni mnie wziali. A tam tez lekka robota: młotem walić, ale to już oni liczyli lżejsza.

W 1952 r. wyszła amnestia, ale mnie nie obejmowała, mój artykuł, bo ja miał współpracę. Jak Stalin zmarł to my stali na apelu, przez mikrofon nam mówili. Ogłosili żałobę, ale my tam żałoby nie patrzyli.

Na końcu, jak ja zachorowałem, to do szpitala ^zjechałem raz na dwa miesiące taki doktor, wojskowy, kapitan i - ja tak nie mogłem się ruszyć - i mówię:

- Panie doktorze, ja mam ten krzyż pobity na UB, teraz aby tylko trochę mokro, coś i nie mogę chodzić.

- A na wolność nie idziecie?

- Amnestia mnie nie obejmuje.

- Ja zaraz pójdę do szefa, żeby was puścili na wolność, bo wy tutaj się nie wyleczycie.

- A on posłucha?

- Ja pójdę. - A to podobnież ten doktor to był mój jakiś dalszy kuzyn. Lipka się nazywał i pochodził ze wsi Lipki k. Ostrówka pod Warszawo. Tam działała kiedyś partyzantka Piłsudskiego, i tam pół wsi jest Lipków i wszystko kuzyni. No i już po amnestii zastosowali mnie ja. Rzekomo dojrżeli, że ja nie karany, czysto przeszłość... . I zastosowali mnie to amnestie, ale nie wpisali daty zwolnienia, bo to było już po amnestii i za ten okres co ja siedział po amnestii, to oni powinni mnie byli płacić, no to nie napisali mnie tej daty. Zwolnili mnie w lipcu 1953 r.

Dużo tych co było w partyzantce współpracowało z UB, bo im obiecywali wyjście na wolność tak jak "Cyganowi". Obiecywali, a później dostał kule w łeb. Nic go nie uratowało. Sam "Cygan" mówił do mnie, że miał cztery zabójstwa. On nie miał litości, i "Zbych" też nie miał litości. "Zbych" to taki był: jak dobry, to dobry ale jak już podpadł, to koniec. Nie cackał się.

Mnie Chojnowiak z Duchen, jeszcze żyje opowiadał mi - co to mieli robić ten napad na Łomżę w 1944 r. - to mówił mi:

- Przez Duchny idzie Heniek "Zbych" i jeszcze dwóch. Heniek w eleganckim, angielskim ubraniu, w berecie, automat na plecach, fest tak uszykowany i Heniek mówi tak:

- Furmanke dla nas. - No trzeba ^zwieść. Zaprzęgiem konia i jada. Do Ratowa-Piotrowa. Tam jakaś stodoła stała. Pod to stodołę kazał mi podjechać - mówi Chojnowiak. Ja podjeżdżam. Heniek wylazł z tej furmanki i mówi:

- Poczekaj, zaraz tu przyjdziem. - Roztwiera to stodołę, a tam pełno partyzantów. Cała

stodoła. Wychodzi jakiś dowódca i powiada do Heńka:

- Po cholereś ty tu tego chłopą przyprowadził. Jaki ty jesteś głupi. Nie mogłeś zsiąść tam za torem i przyjść? Teraz tego chłopą nie możem puścić. Tera tego chłopą Niemcy złapio i co? Dadzo mu w dupe i może powiedzieć ze my tu jesteśmy. I co będzie?

- To co - mówi Heniek.

- Aa - mówi ten drugi - trzeba go zabić, tu zakopiem a wóz puścim i niech idzie. - Ale w oddziale byli chłopaki z Duchen i mówio:

- Słuchaj, on porządny chłop, to zabić go...?

- To my wszyscy zgłniem! - rzucił się dowódca i sie targujo. Nareście jednak dał sie przekonać i zadecydował:

- Puścić go. Tylko niech pan nie jedzie - zwrócił sie do mnie - drogami, jedź pan po polach. Żeby pana Niemcy nie złapali, bo tu z Duchen pana kolegi gwarantujo. - No i puścili. Ja by nie miał pretesji, żeby oni mnie zabili - mówił Chojnowiak - przepadło, ale dzięki tym chłopakom z Duchen.... Ja sie umeczył, bo jechał po tych polach, alem dojechał, alem przeżył.

Tadek Zakrzewiak opowiadał mnie, że latem 1944 r. jak bili sie w Cerwonym Boru, to ich duzo naginęło, a kpt. "Biały", co tam był dowódco, to 50 m. od niego zginął. Tadek był w oddziale Heńka Jastrzębskiego i jego brata Janka. Zrazu dowodco był Grabowski, ale jego Niemcy zabili i wtedy dowódco był Janek. Opowiadał tak: My tu przy torach byli. Najpierw pokazało się trzech Niemców i ido tak. No to my, wszyscy z bronio, zaraz mówio: zabić ich, a "Biały" mówi: cicho, czekajta. Przez lornetke patrzy, i widzi, że za nimi idi juz Niemcy.

Lipka: Ale że oni [partyzanci] nie widzieli, że i z tyłu Niemcy ido? No i Tadek mówi: Niemcy puścili serie i ranili "Białego". Ukląk na kolana, jeszcze przez lornetke popatrzył i mówi: jestem ciężko ranny - a druga seria poszła i "Biały" leży.

Lipka: zginął na samym początku.

Kopia

7/1114

Teofil Lipka (relacja nagrana przez Jerzego Kułaka, do zbiorów Archiwum Wschodniego)

Mieszkałiśmy na kol. Radgosc [Radgoszcz Kolonia], obok była Radgosc Dwór, Radgosc (te wieś my nazywali Piaski) k. Śniadowa, pow. Ostrołęka, woj. warszawskie, a leżące obok nas Zalesie, Chomontowo, Uśnik już należało do woj. białostockiego. Nasza parafia to Kleczkowo, bo tam był kościół, a gmina Troszyn. Moi rodzice mieli 20 ha, które kupili od właściciela dworu Łuniewskiego, bo ten bawił się i pieniędzy potrzebował, to sprzedawał. To takich kolonistów jak ojciec było 10, co kupili ziemie od Łuniewskiego, średnio po 20 ha, tak że ten sprzedał w ten sposób z połowe majątku. Kiedyś to wszyscy należeli do dworu, ale stopniowo, stopniowo wyprzedawał.

Ojciec chował 3 konie, 10 krów. To było już takie spore gospodarstwo. Obok było Wierzbowo, Uśnik, Chomentowo. Do samej Radgosc było z 1,5 kilometra. Do Uśnika to ja do szkoły chodził. Przed wojną nie należałem do żadnych organizacji takich jak np. "Strzelec" czy inne.

U nas w łomżyńskim to organizacja narodowa, to była najsilniejsza. W Śniadowie to było same żydostwo. To raz pamiętam, w czwartek się najechało tych narodowców - ja jeszcze nie należał, bo był młody - to stragany Żydom rozwalali, bili tych Żydów, okna bili, ale u tych narodowców to też byli rozmaite - bił okna a przyszed wieczór, to poszed kupować u Żyda. Później ich łapali i jedne drugimi wygadywali.

W 1939 r. miałem 17 lat, miałem trzech braci i cztery siostry, to jedna siostra była już za mężem w Głęboccu [Głębocz]. Jak wybuchła wojna to na Kamienowie, zaraz za torem - tam był las - stała polska kawaleria i z Niemcami idącymi od Ostrołęki się bili. No i samolot taki psyleciał i zaraz za Radgosc, na polu siedli. Kilometr od frontu. My, ja i kilku chłopaków, podlecieli do nich i żołnierze się pytają nas:

- Skąd wy.

- Stąd jesteśmy.

- Pomóżcie nam wepchnąć samolot między sterty [siana]. - My im wepchnęli, gałęziami nakryli i oni poszli do sztabu (stał w lesie w Kamienowie) i kazali nam tu poczekać. Widać jakoś wiadomość nieśli dla nich. Potem przyszli, pomogliśmy im wypchać ten samolot, pożegnali się i polecili.

Później my się zebraliśmy, bo już mówio, że Niemcy ido od Ostrołęki tutaj, są pod Zalesiem i uradzili, że pójdziem z wojskiem, bo co mamy robić. Tam gdzie oni to i my. Powiedziałem tylko dla ojca i już. A rodzice powiedzieli:

- Jak majo was Niemce zabrać, to idźta, może jeszcze cofno ich. - I o jakiejś 11 wieczorem idzie wojsko. A to szedł 71 pułk piechoty od Grodna. Szli od Zalesia w stronę Śniadowa, na Czerwony Bór (tam ich potem rozbili). No i my wyszli do drogi iść z nimi. Jeden oficer jechał konno przed nimi, podjechał do nas, wyjął pistolet i pyta nas:

- Kto wy jesteście?

- Jesteśmy chłopcy z tych terenów.

- Cego tu chcecie?

- Chcemy iść z wojskiem, bo wojna. - Oficer odwrócił się i zatrzymał wojsko, bo zobaczył, że tu kupa chłopów stoi.

- Chodźcie, idziem. - I my idziem z nimi, z tymi żołnierzami i te żołnierze z tyłu mówio tak, jeden mówi do mnie:

- Ty, po co ty idziesz?

- No to co mam robić? Będę tu siedział, Niemcy przyjdą...

- A ty myślisz, że tam to będzie lepiej. Ja to musze iść, bo ja wzięty do wojska, a ty idź

do stodoły, wleź w słome i siedź. Tam pójdiesz, to możesz zginąć. - Tak sobie dumam: może on i prawdę powiedział i wróciłem się. A rano już tu Niemcy u nas. Krowe rano prowadziłem, to Niemcy jechali samochodem przez Radgosc. Patrzyli się na mnie, ale nic się nie odzywali.

Niemcy byli u nas krótko - jakiś tydzień albo dwa. Ja i nigdzie nie chodził, bo bał się iść, żeby mnie nie złapali, siedziałem więc na kolonii. Wiem, że były takie wypadki jak złapali kogoś krótko ostrzyżonego, to znaczy, że żołnierz i zabierali takiego. Chyba kogoś ze Śniadowa wzięli, ale nie pamiętam tego dokładnie, bo to odległy czas. Niemcy zaraz zresztą odstąpili i przysli Ruskie.

Granica zrobiła się w Troszynie, za Kleczkowem w stronę Ostrołęki - kilkanaście kilometrów.

A za Ruskich to już było. Jeździli po koloniach na takich zaprzęzonych w jednego konia wózkach. I bez przerwy były aresztowania. Z Marków aresztowali Jakackiego za udział w wojnie Piłsudskiego, mego brata, bo był na wojnie w 1939 r. W Konopkach miał dziewczynę. To tylko kurtkę założył cywilno na mundur i poszedł do Śniadowa, ale tamte Żydy go znali, bo Śniadowo było od nas blisko i pokazali go widać, że on z wojska i tam go aresztowali. To wtedy cały samochód ludzi aresztowali. Brat osądzony został w więzieniu, w Łomży, chyba na 8 lat i wywieziony na Kamczatkę, stamtąd trafił do armii Andersa i wrócił z Zachodu. Żyje jeszcze. Mieszka w Starogardzie Gdańskim.

Żydzi podawali nazwiska, Ruskie pisali, pisali i później łapali tych ludzi. To było musi w listopadzie 1939 r. Dużo ludzi aresztowali z Ratowa-Piotrowa. Taki Ogonowski stamtąd siedział. Trudno ich wyliczyć, bo tu bez przerwy byli aresztowania, bez przerwy. Śniadowo to było całe żydowskie, mało tu było ludzi [Polaków]. Gdzie tylko jakiś lepszy sklep to Żydzi mieli i za Ruskich rządzą. Każdy młody dostał opaskę na rękę i karabin. Był taki jeden to mówił:

- Chcesz iść do kościoła, to ja ci rozstworzę kościół. - Taaak. Mówił, że to oni teraz rządzą.

Najbliższy posterunek milicji był w Śniadowie. Milicja to była żydowska, wszyscy ze Śniadowa. Było takich dwóch braci w tej milicji. Nazywali się Drzewko. Ich ojciec był krawcem.

Nie wiadomo co się z nimi stało. Może uciekli do Rosji.

To w Śniadowie aresztowania byli prawie co dzień. Jak pierwsze aresztowania zrobili, to już na jarmark taki mężczyzna w średnim wieku nie szedł, bo bał się aresztowania, zostawał w domu, ale oni i do domu przyjeżdżali i obtaczali, i brali, bo Żydy już dali im na liście jakieś ludzi przeciwnie byli im. Najbardziej dawali się we znaki takie młode żydziaki, w moich latach.

U nas i w okolicy to nie było rodzin ruskich oficerów.

Tego wojska to było pełno. Najwięcej w Śniadowie. Bez przerwy jeździli samochodami. Któregoś razu przyjechał do nas na kolonie jakiś Ruski chyba ze sztabu, jakaś wyższa szarża i zrobił zebranie. Wszystkich zebrał i opowiadał nam:

- Teraz my będziemy pod Rosją, Ruskie będą rządzić nami - i tam robili kolejki tak, wąskotorówkę, to wszystkich gnali do roboty na to kolejki. Z tego dworu koło nas to dziedzic Łuniewski (kawaler jeszcze był, chociaż 34 lata miał, był w stopniu kapitana, matka jego zmarła przed wojną) zaraz uciek w stronę Warszawy, do Niemca. Za Niemca to jego szwagier Borkowski przyjechał tu gospodarzyć, bo ten Łuniewski tam się ożenił. Te dworskie też puciekali jak Ruskie przysli, bo nie chcieli robić w kołchozie, więc Ruskie musieli zganiać ludzi siłą do pracy od tego dworu.

Jak już ta władza przysła po wojnie, to rozparcelowali ten dwór i te co tam pracowali, to dostali ziemię z reformy i do dziś mieszkają tam. To oni już powymierali. Ich dzieci i

wnuczki tam mieszkajo.

Priedsedatiem był taki z Dębowa Księżyk, małorolny. Urzędował we dworze. Tam zrobili kałchoz. To nakazywali nam, zeby iść do dwora, sieczke rznąć, krowom dawać. To my tak w kolejke chodzili ze wsiów i z kolonii. Nieraz my tam poszli, to i nie chcieli robić, to Księżyk stał i mówił:

- Co Francji i Anglii czekacie, ze was obroni. Związku Radzieckiego nikt nie pobije. Taaak. Berzcie sie do roboty. Nie czekajcie, nikt tu nie przyjdzie. - A później - jak Niemce przysli - biedaczysko uciek gdzieś i zginął chyba, a kołchoz ten sie rozwiął.

Na początku to robili takie zebrania na których uświadamiali wszystkich. U nas na kolonii to było tak ze dwa razy. Przeważnie przychodzili młode ludzie, bo stare nie chcieli przyjść. To im gadali, a oni sie śmieli po kątach, bo wiadomo - co tam z kacapem gadać i tak każdy swoje myślał. Może i zaraz byli wybory, ale tego już nie pamiętam.

Któregoś razu przyszedł do nas na kolonie milicjant ze Śniadowa, ten Drzewko, pisać nas. Pytamy się:

- Czego?

- To tak tylko. Kazali ruskie podać tam... - A ja uważał, że już pewno liste robili i na noc chodził spać do Uśniku, do Zielińskiego Józwy, mego kolegi. On jeszcze żyje. To ja do niego bez przerwy chodził nocować. To był mój kolega ze szkoły, zresztą tam wszystkie chłopaki to byli moi koledzy. Później jak ja wrócił, to oni mnie zaraz wciągnęli do konspiracji, bo Uśnik, Dębowo, Wierzbowo to tam sama partyzantka była.

I przychodzili do mnie chłopaki - takie juz starsze, z wojny. Jeden to był Tyscak Wacek z Jakaci Borowej. To on zakładał organizację. Przed samo wojno w wojsku był, chyba kapralem był. Później mnie ludzie mówili, że on, po moim aresztowaniu, nadal dowodził organizacją. Do jego należeli i Jakać, i Zalesiak, a sztab był chyba w Nadborach koło Pisk, gdzieś na kolonii. Jak Niemcy przyšli po raz drugi, to on został sołtysem, bo jego ojciec to był "gruby" gospodarz i chociaż z Niemcami dobrze żył, to jednak zabrali go od kościoła. Widać go ktoś oskarżył. Zaraz go podobnież zabili. Szwagra Zakrzewskiego Tacka (co tu był jak film kręcili panowie) to razem z nim zabrali i zabili. On był szefem organizacji NSZ.

No i ten Tyscak przyszed do mnie i mówi:

- Wiesz co. U ciebie to będzie dobrze organizować. Ty na kolonii mieszkas. Dobre miejsce. Będziesz należał?

- Będę należał, ło pewnie.

- Dobrze, to my przyjedziemy i zrobim liste. - I przysli za pare dni do mnie - w styczniu 1940 r. - wpisali mnie na to liste. To było ZWZ. Później jeszcze pare razy byli, sie pytali jak tutaj jest.

- To Ruskie mało do mnie przychodzo - odpowiedziałem.

Na wiosne mieliśmy robić ćwiczenia, takie przysposobienie u mnie na kolonii. Broni jescześmy nie mieli, tylko dopiero żeśmy organizowali. Z tym Tyscakiem przychodziło z nim dwóch jescze, ale juz ja ich sie nie pytał, bo to było ściśle tajne, to nie to co po wojnie, że i małe dzieci wiedzieli kto do konspiracji należy.

Moje koledzy to byli Krajewiaki i ja im mówiłem, że tu ma sie tworzyć taka organizacja, ale to byli bojące chłopaki, i ich rodzice byli bojące, i ja wcale do nich sie nie odzywał, bo jak kto bojący, to lepiej sie wcale nie odzywać. Tak że nie zdążyłem kogoś jescze wciągnąć do organizacji, bo zostałem aresztowany.

W lutym 1940 r. wywieślił piłsudcaków z Konarzyc i tych, co to mieszkali na kolonii. Wszystkich, kto był w Piłsudskiego armii. Kilka rodzin stamtąd wywieślił. To oni juz nie wrócili.

W nocy z 31 marca na 1 kwiecień Ruskie obtoczyli budynki i zabrali mnie. Jak ja sie

później dowiedział, to było tak. Prawdopodobnie że my należeli do sołtysa w Radgoscu, do "Piasków", a jego chłopaki to byli moje koledzy. I do niego przyjechali Sowietci z wieczora w kilku żołnierzy i kazali mu przysykować furmanki, bo nas będą brać nocy - bo w dzień nie mogli, bo byśmy uciekli, bo to na kolonii. A on, gdyby był dobry Polak, to by wieczorem wysłał do nas chłopaka którego i ostrzegł, ale on wiernie służył im, bo bojał się ich.

A Żydzi ze Śniadowa z nimi byli, że ten co nas oskarżył, to uciek i się ukrywał pod innym nazwiskiem, ale później Niemce go dopadli, bo nasi go oskarżyli, i zabili go. Jak mnie ludzie mówio, to tu za Niemca było dużo takich Polaków co z Niemcem pracowali. Później jak ja przyjechał z Syberii, to pytał się ich:

- Dlaczegoście mnie nie dali znać.

- Jesteśmy się bojeli Ruskich - odpowiedział syn tego sołtysa.

A ja wtedy by w domu nie był, bo to już był koniec marca i ojciec pojechał do Łomży coś tam załatwiać, a ja woził cały dzień obornik. Wywiozłem go chyba z 15 razy. Jednemu to było ciężko, ale ja był chłopak już dorosły, skończone 17 lat. I na wieczór matka już szykowała jedzenie, ojciec przysed z Łomży i pamiętam jak matka mówi do ojca:

- Ty cholero stary, włóczyś się a chłopak sam woził obornik, napracował się, zjad i tera musi iść do Uśnika, bo przyjadą kacapy jego aresztować, to musi iść.

A ojciec poszkodował mnie:

Lz
- Nie chodź - mówi - Idź spać. Ja byłem w Łomży i [słyszałem od ludzi że] Amerykanie zabronili jm. W Łomży gadają, że zabronili. Nie bedo już wywozić. Ja w to nie wierzył, bo to przecież w lutym ludzi od nas wywozili na Syberie, ale nie chciałem się ojcu sprzeciwić i takem w ubraniu się położył. Pomyślałem sobie, jak wszyscy usno, to ja wstane i pójde do tego Uśnika. Jak zasnąłem, to dopiero szczekanie psów mnie obudziło. Ja już nic nie patrzył co będzie, tylko się zerwał i do ucieczki; bo wiedział ja, że jak psy szczekają, to już coś tam jest. Aby ja od budynków odleciał i będzie uratowany. I ja wyskakuje z mieszkania, a tu śnieg popadał, i to gruby, biało na dworze. Ja między stodołę i chlew skoczył, i zaraz by w pole poszed, a tu dwóch wojskowych z bronio do mnie krzyczą:

- Stój! Budziem strielać! - Ja tak spojrzał na nich spod oka i zeby nie śnieg, to bym jeszcze uciekał. Bym kozła przewinął, a była taka ciemnica, że na pięć metrów nic widać nie było, ale po śniegu świeżym to się ucieknie? Widać wszystko. Zatrzymałem się, zara wrócili mnie do mieszkania. Ten szef ich powiedział:

- Zabierajcie się. Pojedziecie stąd. - Ja się nic nie odzywam. Patrze się na nich. Matka mówi:

- Nie pojedzie nigdzie. Tutaj jest moje miejsce, tu się ja urodziła i tutaj musze żyć. Chcecie to mnie zabijcie tu, a ja nie pojedzie. Ubijcie mnie na miejscu, jak mam tam zginąć. - A przecież ja miał jeszcze dwóch braci i trzy siostry. Czwarta była w Głęboccu, to już jej na liście nie było, no i najstarszy brat, co już był aresztowany.

- Musicie jechać - powiedział na to Ruski. W tym czasie podjechał z kilkoma furmankami ten sołtys z Piasków, bo jako sołtys musiał im dać furmanki. Tak było. Oni [czerwonoarmiści] stali od nas jakieś pół kilometra na takich łąkach i podeszli pieszo i obtoczyli budynki, a furmanki później przysli. Do mnie to dwóch bajcow wyleciało, a tam dalej to stało z dziesięciu.

No i kazali nam się zbierać. Ja wtencas wiedziałem, że my już nie powrócim prędko. Miałem rower taki dobry jesce i mówię temu Ruskiemu, że ten rower, to jest nie mój, pożyczony od sąsiada, bo zacząłem kombinować jak by tu ocalić ten rower. I wóz też nie nas - bo to był nowy wóz. Pomyślałem, że szkoda go, bo zaraz Ruskie albo ludzie zabioro. No i ten ich dowódca kazał tym dwóm żołnierzom razem ze mno iść do naszych sąsiadów. Gdyby tylko jeden żołnierz ze mno był, to byłoby poł biedy. Dmuchałbym go, zabrał karabin

i uciek, ale dwóch to nie da rady. No, posłem i mówię do Krajewiaka:

12
- Chodź weźmiesz swój rower - i mrygnąłem do niego - ja ci oddaje i wóz zabierzta, bo ja mówiłem, że to was, bo zaraz zabioro jak my odjedziem - Ruskie to nie rozumieli o czym my mówim. No i przysed Krajewiak ze mno, wzioł rower. Później jego brat przyjechał i wzioł wóz. A miałem jesce karabin schowany w stodole, w "Łontce", to bojałem sie jemu powiedzieć, bo on by sie tez bojał. To potem napisałem do niego w liście z Syberii, gdzie ten karabin lezy, tzn. ja nie napisał, że to karabin, ale tak, że on zrozumiał o co chodzi. I on znalaz ten karabin. Ta nasza stodoła stała pusta, bo oni [Sowieci] zabrali zboże, krowy, konie, wszycko do dwora, do kołchozu. I Krajewiak znalaz ten karabin i później jak ja przyjechał, to mnie jego oddał.

Krajewiak mnie potem opowiadał, że na drugi dzień rano jak nas zabrali, to Dębowo, wszystkie te biedne przylecieli i kury to po dachach ganiali. Brali wszytko, co sie dało, wszytko grabili. Póki Ruskie nie przyszli, to zabrali, co tylko mogli. Te z Dębowa, to dobre "meble" byli. Potem, już po wojnie, zacem my wrócili, to pod szyldem partyzantów chodzili i rabowali.

Razem z nami wywieśli Niedźwiedzkiego ze Śniadowa, który też należał do organizacji. Też gospodarz był. I razem z nami wrócił. To był zacięty Polak. Na Syberii ze mno sie kontaktował, to pokazywał mi tam naszo mape sztabowo, to mówiłem mu:

- Schowaj jo chłopie, bo jak tutaj jo złapio, to dostaniesz 15 lat. - I schował i nikomu nie pokazywał. Ze mno sie znał, bo my razem stąd, to mnie sie wcale nie bojał.

Razem z nami był też wywieziony Najda Bolesław. Był komendantem policji w Śniadowie. Też wrócił. Z Jakaci-Dwornej byli Sierzputowski, Jarmitowski. To razem żeśmy jechali. Sierzputowski to był taki dawny "Amerykan", bo kiedyś w Ameryce był. Razem nas wywieśli i tym samym transportem wracaliśmy, bośmy byli w jednych kałchozach.

Ze Śniadowa to wtedy cały transport był, bo i Lubotyń, wszytko. Wszystkiego chyba z 8 wagonów załadowali, a w takim towarowym wagonie było z 6 - 7 rodzin.

72
72
Dali nam pół godziny casu na załadowanie wszytkiego. Kazali brać tylko ubranie, pierzyny, odzież a więcej nic. - Ale że piekło się chleb w domu, to wzięliśmy chleb, bo mieliśmy upieczony, troche smalcu, mięsa i do Śniadowa, na stacje, nas przywieśli. Ja patrze, że Niedźwiedzkiego Stanisława już ładuju. Oo, to był Polak. Sie nie bojał tych Ruskich wcale. Rzem z nim byli jego rodzice, to ojciec zmar na Syberii, bo to był juz staruszek. A starsy brat Niedźwiedzaka to zginął gdzieś na wojnie, czy go potem Ruskie aresztowali?

No i zwozili ludzi ze wszytkich stron na stacje. Najwięcej było z lubotyńskiej gminy: Jakaci Dwornej (było wtenczas chyba dwie rodziny: Jarnutowskie i Sierzputowskie), z Podbiela było dużo znajomych, reszta od Lubotyńia byli. Jakacka to miała córke Marysie, to miała rok, albo i nie, a pozostała trójka jej dzieci, to miały po 3-5 lat. Wszystkie przeżyły. Jak tworzyli armie Andersa, to Jakackiego nie puścili do niej, bo miał małe dzieci na utrzymaniu i wrócił do żony. Wrócił razem z nimi do kraju. Teraz, niedawno, zmarł. 1901 rocznik on był. Mieskał razem ze mno w tym samym kałchozie. Jego żona tez mieskała tam przez pare lat, co było można to pomagało się im, żeby z głodu nie umarli, tym dzieciom sie dało.

Na starej stacji w Śniadowie stojeliśmy dwa dni i ja patrze, że kobiety wychodzo z dziećmi, bo niedaleko lasek był. Widze, że jedna podeszła do żołnierza i mówi, że ona z dziećmi chce iść do lasu i ten żołnierz z nimi tam szed. No, tam oni sie załatwiali a ten żołnierz stajał z tym automatem, ale sie odkręcił a ja patrze sie na nich z wagona i dumam: Gdybym ja tak tam poszed? - No i mówię jemu, że ja też chce tam iść, a on patrzy sie tak na mnie, patrzy i mówi:

- To idzi. - Odciągnął automat [zamek pepeszy], ode mnie pięć kroki i idzie. A jak kobieta szła, to na plecach trzymał ten automat. Ja poszed za te krzaki, załatwiam się i patrze czy się odwrócił, ale nie, cholera, się nie odwraca i tylko patrzy na mnie. - Wróciłem z powrotem.

W wagonach były takie nary porobione. Od podłogi jakieś pół metra były jedne i potem byli drugie nary, i tam byli ludzie. Na przeciw drzwi było pusto i tam taki piecyk stał, a po drugiej stronie znów były takie nary jedne przy drugich. Na tych narach w kącie były nasze bety. Jechało się 14 dni w tamto strone, to tam trzeba było spać. Te bety rozciągali i spali na nich. A między wagonami stojeli Ruskie z karabinami i pilnowali.

W Łapach doczepili znów kilka wagonów i w Białymstoku jeszcze doczepili. W Łapach, pamiętam, ksiądz wyszed z ludźmi do torów z krzyżem jak wjeżdżaliśmy do miasta. Ludzie, kobiety, wszyscy płakali w wagonach. Ksiądz się modlił i te ludzie się modlili. Stojeli i patyli jak my odjeżdżali.

Jak pociąg ruszył, to zatrzymał się dopiero w Rosji, tak że załatwiali się w wagonach. Tam byli kibelki, dopiero jak przejechali Rusko granice, to wypuszcali po dwóch, po trzech, na stacji. Nie wiem ile wagonów było w transporcie, bo trudno było policzyć, bo człowiek już był taki zmartwiony. Tylko spojrzano się, to widać było, że to był duży transport. Z powrotem jak jechali, to ja już liczył wagony, bo już same jechali, to wiem że transport liczył 52 wagony. Pociąg zatrzymywał się tylko w miastach. Tam dawali nam chleb i kawę. Kuchnia wojska podchodziła pod pociąg. Raz na dzień dawali. Na liście było i odkreślali. Mało tego było, tylko tyle, żeby nie umarli. Pociąg był tak długi, że nieraz jak podjeżdżali pod górę, to doczepiali drugo lokomotywe, bo nie mógł wjechać. Jak jechali w tamto strone, to jakoś nikt nie umar.

Przez stepy, przez Wołgę śmy przejeżdżali. I potem wjechaliśmy w Ural, w te góry. To strasne góry. Nieraz jak patrzył, to obok nas był ostatni wagon, tak cały skład zakręcał. To musiał być pociąg długi. Przez tunele jechali, to nieraz parę minut ciemno było. Zawieśli nas w Kazachstan, stacja Kokczetaw. Rano żeśmy zajechali. Od stacji wieśli nas jeszcze 150 km samochodami po kałchozach. My trafiliśmy do kałchozu Samsonowka. To był duży kałchoz. Dwie wsie przedzielone rzeką. Po jednej stronie była Samsonówka, a po drugiej Prekrasna, a kałchoz nazywał się "Na wstreczu" czyli "Na przeciw".

My myśleli, że oni wyrzucą nas na ulice i pójdą, a oni nas po kwaterach Ruskich rozdzielili, bo patrzy, że kupa dzieci i kobiet jedzie. To u nas te dzieci takie więkse byli, a przeważnie te kobiety były z dziećmi małymi. To jak ktoś z Ruskich miał więkse mieszkanie, to dla tego im przydzielali "na razie" - mówili im "tydzień potsymas i wybrosis" - ale te Ruskie cywile, to są dobre ludzie. Nikogo nie wyrzucili. Powiedzieli nam, że oni przeżywali to co i my, ale w 20-tym i 30-tym roku, gdy Kołcak bił się z tymi Krasnymi. Tych, co nas psyjmowali - gospodarz nazywał się Iwan Alakin - to ich ojciec poginął od czerwonych. To byli dobre ludzie. Nieraz to i jeść dali, jak nie było co.

Tam byli różne narodowości. Ona naszego gospodarza, to była Mordwinka, carna taka. Zdatna baba. Mieli troje dzieci. Ona miała 28 lat, a on 38. Mieli drewniany dom i my tam mieszkaliśmy razem z nimi. Nas była duża rodzina, to dali nam jedno mieszkanie i my tam jakoś się pomieściliśmy, na piecu spaliśmy, ale Iwan mnie polubił i mówi do mnie:

- A ty pareń (znaczy: kawaler) będziesz tu u nas koło pieca spał - no i ja tam sypiał. Z nim to było przejście. To był nerwus strasny ten jej mąż. Lubił popić. To była heca. On zawsze psychodził pijany, a ona się z nim kłóciła. A ona była taka zawzięta, ta Mordwinka. No i raz, zara na samym początku jak my psyjechaliśmy tu, gdzieś we pa\$dzierniku, Iwan psysed taki pijany i ona się z nim kłóci leżąc na łóżku z najmniejszo córko, gada jemu, że on pije... . A ten kacap się zerwał, lampę naftowo tako wiszącą zaświecił, ona jeszcze gada, i jak złapie to lampę, jako ją rąbnie to lampa, patrzy, a dziewczynka cała we krwi. Krzyk się zrobił, a Iwan wziął

dubeltówkę i idzie do lasu.

- Gdzie ty idziesz? - mówie do niego.

- Mnie tiorma. Pac. Dziewcyne zabiłem. Mnie pachnie tiorma, a ja pójde do lasu. Mój ojciec zginął i ja zginie. - No i posed do lasu z dubeltówko. Ja zawołał matki, to dziewczynke obmyliśmy, ta kacapka płace taka bezpsytomna. Patsym, ze jej nic nie jest, tylko usta ma nieco psecięte tym skłem, a tak to tylko trochę nafto zalana. Ta dziewczynka psestała płakać i mówie do tej kacapki:

- Po co sie z nim kłóciła. I co tera będzie? - i ja mówie - Ja pójde po niego. On myśli, ze ta dziewczynka zabita i on nie przyjdzie. Przepadnie chłop i co będziesz miała. Ja pójde po niego. - A las był zara, niedaleko. Noc, śnieg pada, patse, zeby choć śladu swego nie zgubić. I ksyce:

- Alakin! Alakin! - nic sie nie odzywa. Ide jesce dalej, ale myśle: zawróce sie, bo ja zabłądze. Nagle odzywa sie ktoś.

- Idzi siuda - mówie do niego. Podsed do mnie, dubeltówka wymiezona we mnie - Nie bój sie. Chodź do domu.

- Co ty chcesz, zeby ja do tiormy posed.

- Nie pójdiesz. Dziewczynke my umyli, ma tylko usta troche rozcięte.

- Ona mnie oskarzy.

- Ona cie nie oskarzy, bo ona siedzi i płacze, i wysłała mnie po ciebie. Chodź - i ciągne go za rękaw, a on coraz słabszy, daje sie powoli ciągnąć, idzie.

- Jak ona nie wyjdzie po mnie, to ja nie pójde do mieszkania - odezwał sie Iwan. Prowadze ja go na podówrze, a ona nie wychodzi.

- Poczekaj tu troche - mówie do niego i skoczyłem do mieszkania.

- Chodź szybko, bo psysed i pójdzie zara - mówie do niej. Za kark jo i psyprowadziłem na podwóze. Ona stoi psed schodami i płace.

- Powiedz, zeby on sed - mówie do niej. No, powiedziała wrescie. On dubeltówkę na plecy i psysed.

- Rano weśmies konia - mówie do niego - ze dziewczyna sie przewaliła i usta rozcięła i ona [jego żona] nie powie, i my nie powiemy. Co ci ten las da? Nikt nic nie powie. Nie bój sie. No i posłuchał sie. Pojechał rano po lekarza, ten zszył dziewczynce to rane, bo miała rozcięte do samej kości. Na drugi wiecór psynosi on samogony i woła mnie, zeby pić z nim. Ja jesce był młody, tej wódki nie chciał wiele pić. A psysła jej rodzina. Mieskali obok. I jej brat dziwił się:

- Jak ten pareń mógł tako dobro rzecz zrobić? Toć on by był nie wrócił. Jak on sie domyślił ten Polak. I za pare dni to te ruskie chłopaki psychodzili z kałchozu i brali mnie, zeby ja sed z nimi do towarzystwa. Zara cały kałchoz sie dowiedział. Ja nie umiał po rusku rozmawiać, oni nie patsyli na to, rozmawiali ze mno, tak mnie psyjeli, ze ja taki dobry ucynek im zrobił. Za rok zaceła sie wojna i oni wzieni go do wojska.

Duzo tych Ruskich co tam było, to pod Warszawo byli w 20-tym roku. Te stare. To opowiadali mnie, jak uciekali spod Warszawy. Aby tylko troche. Taki stary kacap przysed do mnie, obejrzał sie aby Ruskiego nie było i politykował jak jem za cara było dobrze.

- Wy to niedawno, ale my tyle lat sie mordujem - mówił - i nie miał nic do nas. - Paliaki to wojujuszczij narod. Ja pamietam jak nas gnali spod Warszawy.

Te Ruskie ludzie, cywile, to byli dobrzy ludzie, tylko te urzędniki. Który doszed do władzy i do partii należał, to koniec. Tam nie było dostępu do niego. Stalin tylko u niego i więcej nic.

Jak święta byli, to my po domach sie schodzili. My świętowali swoje święta, a Ruskie 14

dni później. Tak samo jak i my. Nawet jak ślub brali, się żenili, to przychodziła taka dawna zakonnica Ruska i jak przysli do cywilnego ślubu to klękali na derke i ona jech błogostawiła. To tak zamiast księdza. I tak po cichu, żeby władze się nie dowiedzieli. Jak partyjniak Ruski się żenił, to ona tam nie posła. Oni tam wierzyli w Boga, wszystkie. Partyjnych w kołchozie było mało. Jak partyjny szed, to od razu głos zniżali. A my żyli tam pare lat, to oni z nami żyli jak ze swemi. Nie bojeli się nas nic. Raz, że język dosyć zrozumieli, dwa, że wiara podobna no i ze nas za walke z komunizmem wywieśli a jech ojce też poginęli tam też w walce z komunizmem. Oni mówili, że ich ojce byli w armii Kołczaka i uciekali przed komunizmem na Syberie. Jak mówili, to jeszcze przez pięć lat po pobiciu Kołczaka nie byli tam w kołchozie. Dopiero wtedy się tam maskra rozegrała. Chleb z pieców wyrzucali, zboże palili w stertach - tak komuniści szli. A ich mężów, co byli u Kołczaka to rozstrzelali od razu. Ale dużo się ukryło, bo przeszed do drugiego kałchozu, tu, tam. Jednego Ruskiego przy nas - miał 66 lat - to poznał taki jeden co przyjechał z rejonu. I dostał przy nas 15 lat. Tyle lat po wojnie. U nich amnestii nie było. I stary poszed dożywać do więzienia.

Ja się popatrzał u nich na ten komunizm, to żeby miał tak żyć swój, wiek to lepiej było sobie skrócić. Jak te Ruskie się mordowali. Człowiek był to samo co i więzień. W kołchozie musiał robić. Jak się urodziło i te predsiadatele i sekretarze nie rozkradli, to dostał. Kary nie było na tych co kradli. A w kołchozie to było tak, że jak się urodziło, to trzeba było zdać do państwa wiekso część, a reszto się dzielili, a przeważnie dzielić się to nie było czym, bo już wszystko było rozkradzione. Jak na wiosne w kałchozie zasiali kartofle, to ten biedny kałchośnik w nocy poszed sobie wybrał kosz albo dwa kartofli z pola i żył. A na jesieni jak młócili zboże, to nogawki zawiązał u dołu i sypał sobie [w spodnie]. I tako żyli. To przy nas to robili, bo nas się nie bojeli.

U nich to już w sierpniu mógł być śnieg, tak że we wrześniu to już była zima. Oni mówili: U nas tylko 9 miesięcy jest jest zima, a to wsio i leto, i leto, i leto.

No i biero tego ruskiego na wojne, my zostajem tam z nio. On miał dwie krowy, świnie casem chowali. No i na zime trzeba było nakosić trawy na tych stepach dla krów. To ja im pomagał, to trawę kosiłem. To chyba ze dwie zimy my tam z nio byli. Ona nam i mleko dawała, i kartole śmy sieli razem z nio. Tak ona nas "ziła" [traktowała] jako rodzina, za to, że tak jej pomogłem wtedy. Wcale nas nie miała za obcych ludzi. I on psyed z wojny później, bo ranny był i puścili go.

Latem to my musieli robić w kałchozie. Jeździli młócić zboże, bo oni kosili co kombajnami, to kombajnami a reszta kosiarkami i w take sterty kładli. Później mieli takie w "rodzie" [w rodzaju] tych naszech "damfów" i gnali ludzi i młócili. I nas gnali do młócenia, do tych stert. U nas w rodzinie to tylko ja i młodszy brat (juz tak dorastał) pracowali, a reszta to byli małe. Ojciec miał juz koło 70 lat, to nie dał rady, a mama to przędła ruskim wełne, za to dostawała to mleko, to co innego. Stale siedziała i psędła, a ojciec do psędzenia nie był zdatny a innych robót nie umiał. Takiego starego do kałchozu nie brali, bo tam pсевaznie młodzież była. A nas jak brali, to nieraz pojechaliśmy w step do tego młócenia na cały tydzień. To jechała i polska młodzież i ruska. Psychodzi wieczór to my sobie robim takie szafasy i polskie dziewczyny mówio:

- łebyšta Ruskich nie wpuścili. Mata tu z nami być w tym szafasie. My nie chcemy z nimi się zadawać. - A te ruskie chłopaki z nami dobrze żyli, i te dziewczyny ich. To my razem z nimi, ale psyed wieczór, to my juz z naszymi dziewczynami i musimy ruskim mówić:

- Nie wolno wam wchodzić, bo nase dziewczyny nie chco, byšta wchodzili. - No, jak ona ma racje, to tseba słuchać.

- Co ja pójde do kacapa rozmawiać? Ty mas ze mno rozmawiać - mówiły nase dziewczyny.

I co tu mam do gadania? Nic jej nie mogę powiedzieć, bo ona ma rację. To w tych szatach one kładli się z dala, a my we drzwiach, bo te Ruskie w nocy nieraz nachalnie szli. Jak my spali z brzoza, to się nas bojeli, bo lanie zaraz dostano.

Z kolegów to pamiętam Staśka Nikiela z Troszyna. To był student, miał nawet to dziesięcioletnio szkołę skończono, to zdjęcia nam robił, miał aparat. Drugi to był Gruszka - syn policjanta. To my we trzech to byli takie szefowie Polaków. Pod nasze komendy wszystkie te Polacy byli.

Jak już wojna się zaczęła, polska armia powstała, to my zaraz pojechali do rejonu. Nazywał się Wołodarowka. To było do niej 50 km. Tam kazali zrobić spis Polaków. I tam powstała nasza placówka i w kałchozach, gdzie byli Polacy, to my mężów zaufania wybrali. Ja byłem mężem zaufania u nas, w naszym kałchozie. Za Sikorskiego to my już utworzyli szkoły polskie. Tam nie było, co prawda, nauczycielki wybitnej, ale wystarczyło. U nas, w kałchozie była taka Sikora z Podbiela. Zmarła w zeszłym roku. A te z rejonu wyznaczyli mnie, żeby ja miał nadzór nad szkołami na trzy kałchozy. Trzeba było ich tam w zeszyty zaopatrzyć i pilnować, żeby wszystkie polskie dzieci uczęszczali do tej szkoły. Ja podlegałem dla rejonowego męża zaufania. Musiał zrobić spisy wszystkich Polaków, jaki tylko gdzie byli. Przedstawił jemu, a on od razu do Moskwy wysłał, do ambasady. I my od razu byli zarejestrowane i dzięki temu my po wojnie psyjechali, a ile ludzi tam zostało? Nawet nie wiedzieli, że się jedzie. A my mieli szkoły swoje, i zapomogi zaraz Ameryka dawała. Ambasada nasza była w Moskwie, to dostawaliśmy: ubrania, żywność, obuwie. Jak tylko Sikorski zawarł umowę, tak bez przerwy szły do nas paki.

Za Sikorskiego docierała do nas polska prasa. Z Moskwy otrzymywaliśmy, a później skończyła się. Gazeta przychodziła do rejonu i tam na mężów zaufania dawali.

W tych kałchozach ludzie byli przeważnie z Wilna i okolic. Oficerów żony były przeważnie. Pamiętam takiego Żyda z Łomży: Orłowskiego. Był razem z córką. On miał fabrykę maszyn przed wojną i Ruskie jego jako burżuja zaliczyli.

Jak powstał Sikorski, to my dostaliśmy dokumenty: swobodnowo przeżywania na sowieckim terytorium. Te dokumenty dostali wszyscy Polacy, nawet ci co mieli sowiecki paszport. Zresztą, w tym paszporcie musiało być napisane, że jest narodowość polska i wyznanie rzymsko-katolickie, bo inaczej my nie chcieli podpisać paszportu. I to nas utrzymywało. No, u nas Niedźwiedzki nie podpisał paszportu i poszedł do łagra, matka - staruszka - została sama, ojciec już zmarł. To wypuścili go dopiero przed samym naszym wyjazdem z Rosji w 1946 r. Jak nas wołali po te paszporty, to ja zapytał się Nikluka:

- Ty, to jak, bierzem te dokumenty, czy nie?

- Bierz, jesteśmy trochę na wolności, a jak nie weźmie, to wsadzą do kiccia i co będzie? Weźmiem, ale mają napisać to co my chcemy: narodowość polska i wyznanie rzymsko-katolickie. - I dalej jemu te dokumenty jako pierwszemu. On wziął ten paszport i patrząc na Ruskiego zmiął w rękę. Kacpał się patrzy na niego, co on robi, a on wsadził taki pomięty w kieszeń i poszedł. Nie mógł go za to ukarać, bo wsadził w kieszeń. Potem Nikluk dostał się do armii Andersa, bo u niego w rodzinie wszystkie byli dorośli, i potem po kolei ich wszystkich ściągnął do armii i prawdopodobnie znalazł się w lotnictwie, a oni teraz wszystkie na zachodzie.

Jak paczki przychodziły, to Ruskie dawali nam transport - bo myśmy wtedy mieli takie trochę przywileje, bo byliśmy Polakami - i jechaliśmy do rejonu. Na koniu to jeszcze było możliwe, ale jak na wołu przyszło jechać te 50 km, to... . No i po przywiezieniu do kałchozu rozdawaliśmy to Polakom. Osobiście to rozdawałem. Listę się zrobiło. Każdy musiał się podpisać, i potem ją to oddawał do rejonu. Te spisy musiałem robić w dwóch językach.

Raz nas pognali do wyrębu lasu w maju. My byśmy tam przepadli, bo tam sktraszne komary byli, i to te malaryjne i rozmaite. My pojechali tam w kilku: ja, Gruszka i inne koledzy. To policjantów syny, to oni z piło nic nie mieli wspólnego. Jak nas te komary ścieli, to my sie pochorowali i uciekli z tego lasu. To później mu udawali, że chore, chore i w końcu juz nas nie brali. To predsiedatiel nakazał tak nam. No, ale nie czepiał sie, bo chore byliśmy.

Innym razem to nas gnali do mleczarni, żeby my cieli lód na rzece. Przed wojno, to i w Polsce trzeba było lód ciąć nie tylko dla mleczarni ale i dla masarzy. Szykowali se lód i trocino go nakrywali i mięso chłodzili. To ten lód to co zimie nas gnali, ale z lodem to nie było takie problemy jak z lasem latem, co komary cieli. To my potem tego lasu unikali, i oni potem nie chcieli nas tam brać. Mówili:

- Z Polaka to nie robotnik. Choć i jest w lesie, to i tak nic nie robi. - A że my młode chłopaki byli, to oni nie wiedzieli, cy nas sądzić, cy nie. Z lodem to juz łatwiej było, jeść dali, to juz pół biedy. Choć raz na dzień, ale dali. My cieli ten lód i tylko patsyli, by kto sie nie władował pod lód. To była głodówka, ale co było robić. W domu sie troche jadło. My kupowali pszenice od tych Ruskich albo kombinowali, pszenice sie mięło w żarnach na tako kasze, mleka sie sie skombinowało. Matka tej pszenicy zagotowała, zalała mlekiem i było dobre. A chleb to jak sie poszło do kałchozu do roboty, to dali pajdke. To ja to pajdke pooglądał i zostawił. Przyniós do domu, każdy wzięł po kawałku i zjad. I chociaż był głód, to na szczęście jaki klimat tam był zdrowy. Górski klimat. Latem to tam było takie ziele grube, to my je jedli, bo i Ruskie jedli. Jakieś takie słodkie, takie jak u nas rabarbar. A na wiosnę to znów sok puszczałiśmy z brzozy i piliśmy, to podobnie był zdrowy i smaczny. Jagody rosły na polach takie duże jak truskawki. Dziko rosły na stepach. Pełno tego było. Z kolei w ogrodach rós taki czarny - oni nazywali - "poszlon". Taki był jak u nas dziki bez, ale to było dobre do jedzenia, to ludzie se pierogi z tego robili. Nieraz jak poszło się do ruskiej coś robić - bo ja tam kuchnie sie nauczył stawić, to tym ruskim stawiał - to gospodyni nagotowała tych pierogów i stawiała do jedzenia. Przyszło się do domu i zaraz nasze kolacje gotowalii jedli.

Jak twożyła sie armia Andersa to ja stawał na komisje, ale nie wzieni mnie, bo rodzinie miałem na utsymaniu. Tak samo i Sikore z Podbiela, co to jego siostra dzieci uczyła. On miał starych ojców. Najpierw była ruska komisja w Kokczetawie i dopiero potem była polska komisja. No i oficer powiedział mi, jak wymieniłem kogo mam na utsymaniu:

- Wie pan co, zgino wszyscy. Wie pan, my tylko to armie stoim, aby była. Wróćcie do domu, to choć rodzinie pomozecie. - Taki mądry człowiek był. No i psyjechaliśmy do domu.

Psysła zima i te ruskie robili walenki, takie filce. I mnie wzieni do roboty przy tych filcach. Jak Ruskie posli na wojne, to te walonki robił ja sam. To było dobre zajęcie, bo za te walonki Ruskie - chociaż wiele nie mieli - ale dali mleka troche, masła, kartofli, pszenicy pare wiader, bo to na pudy było. A ja po cichu tak to temu Ruskiemu zrobił, to Kirgizowi - oni to mieszkali w innym kałchozie i psyjezdzałi do mnie. Kirgiz to nie wyda, bo Kirgizy to byli na Ruskich złe, a z nami dobrze żyli, oni wiedzieli, że nas ~~tu~~ przywieśli. Lé

Ja później zrobiłem sobie ziemlanke i psełem do niej, bo siedzieć u kogo stale, to nie robota. A tam łatwo było. W ziemi sie wykopało i tylko okna na wierzchu. Sie ułożyło darliny takie, ściany grube i matka i siostry wymazali to glino, sie dorobiło dach i taki domek był. Podłoga z gliny była. Grunt, ze swoje. Któregoś razu ta moja gospodyni mówi do mnie:

- Zrób mnie ze dwie pary walenek, to ja ci zapłace, może mleka ci dam.

- Ty mnie nic nie bedzies dawać.

- Dlaczego?

- Bo ja u ciebie tyle lat siedział. Ja ci powiem: ten chłopak twój juz dorasta, 17 rok mu

posed, ty jemu daj wełne, niech on przyjdzie, ja mu założę i on zrobi ze mno walenki i nauczy się.

- To charaszo. - No i ten chłopak psysed i robi te walenki. Brat mój robi młodszy i ja, i łon. A tu nagle wchodzi Ruski przedsiębiorca z jednym z Rajwojenkomatu i ten drugi mówi:

- Znaleśli całą fabrykę waleńków. Mówio, że u was nie ma fabryk. Ło, u was fabryka je! Dawno wy robicie?

- Dopiero zacząłem teraz.

- To komu wy robicie?

- Ja robię matce walenki, a ten - wskazałem na chłopaka - to sąsiadki, robi swojej matce, bratu. On nie umie, to pomagam.

- Taaak? - odezwał się przedsiębiorca - On drogo nie bierze, tylko barana i 1000 rubli. Dobra, zabiraj się i idź do kantoru, tam będziemy pisać protokół. Będziesz aresztowany. - No i idź. Psychodź. Tam siedzi drugi Ruski i pisze, że ja robię walenki.

- Ile bieżesz za walenki?

- Nic nie biorę. Biorę żywność tylko, mleko, masło.

- Ile bieżesz.

- A ile kto ma, to da. - No i pyta się komu ja robię. To ja mówię, że tej Ruskiej, tej. Woła to Rusko, co to ja u niej siedział i ona mówi:

- To jest charoszyj parzeń. On darmo mnie robił. Jego nie nada brać. Gdyby nie on, to byśmy już padochli. Nasze mężowie są na wojnie, a on robi. Chciałam dać mu mleka, to powiedział, że nie chce, bo mieszkał u mnie. - A druga Ruska też powiedziała:

- On mnie robił, ale ja mu dałam tylko dzieżkę mleka. - No i te baby nie chcą jemu powiedzieć, żadna, że ja biorę pieniądze. Nic, tylko krzyczą, że to charoszyj parzeń. A ja sobie siedzę.

- Jak masz dokument? - A ja miał tylko ten "swobodnowo przybywanie na sowieckim terytorium" i mu to pokazałam.

- To ty Paliak? - zdziwił się - Jako masz rodzinę?

- Siedem osób. Ja jestem najstarszy. Ojciec i matka starzy. I tak gdzie mnie dadzą wiadro kartofli, to robię. Muszę robić, bo rodzina z głodu umrze.

- Jakiego wzrostu jest ta twoja rodzina? - A ja udaję, że nie rozumiem i mówię:

- Ja nie znam jakiego wzrostu.

- Ty po rusku nie rozumiesz?

- Nie.

- Ja ciebie po polsku skążę. Skolko im lat.

- Tak i skążicie. Ja dumam dalinninaja kakaja - mówię tak naumyślnie. - A drugi, co siedział obok odezwał się wtedy:

- On z ciebie szutił, ten Paljak. Myślisz, że on nie rozumie po rusku? - No to ten grab [złapał] za telefon i dzwoni do rejonu, i mówi że:

- Znalazłem tu takie przedsiębiorstwo, co walenki robi ludziom. - Widocznie ten w słuchawce pyta się co to za jeden, bo ten odpowiedział: - Ma dokument swobodnowo przybywania na sowieckim terytorium. Polak jest. - Widać ten w rejonie mówi coś nie na jego stronę, może coś w tym sensie: nieźle jego trągać, bo Paliaki mają swoje armie, swoje państwo, tylko aby przeciw władzy nie był, a robić niech robi ludziom. - Tak uważam. A ten to słuchawkę położył i z tych nerwów do mnie mówi:

- Idź w kibieni matier ot siuda. - To znaczy, że do domu.

- Spasiba wam - ukloniłem się - Da swidania i wyszed do drugiego pokoju, gdzie siedziały te Ruskie kobiety, co ich wołał i czekało na to co to będzie. Ja usiad między nimi a po chwili przeszli koło nas ci dwaj. Ten drugi rekawiczkami mnie po nosie udeżył i mówi z podziwem:

- Job twoju mać Paliak, ty mas smykałe - i posed w cholere. A te Ruskie juz rozpowiedzieli, że mnie rozstselajo. No, u nich to tak było. Gdyby ja był Ruski, to pewnie i rozstselali by.

Później juz te Ruskie sie mnie nie cepiali. Jak mnie te enkawede nie wzięło, to ten preddsiedatiel "usiad" [odczepił się]. Ja tam nic przeciw nim nie robił, bom sie bojał. A był z Kobylina [pow. Wysokie Maz.] taki Kobyliński w drugim kałchozie. On był w 39 r. żołnierzem. I jego chyba tam skądścik puścili w Roski, bo psysed do żony, no i psy mnie cytał w kałchozie rusko gazete im mówi do mnie:

- Co tam, teraz juz pod Moskwo so Niemcy, ja sie ich juz nie boje. - I tłumacy tym Ruskim, ze Niemcy okrążajo Moskwe. Za dwa dni przyjechali i zabrali go. Do dziś dnia go ni ma. Pewnie Ruskie zatłukli go za to gazete. Po co im było cytać.

Ile tam było Polaków tu z Białorusi.

O tym Katyniu to u nas gadali i my miedzy sobo gadali, że to Ruskie, a Ruskie nam gadali, że to Niemcy. No, ale my do nich nic nie mogli gadać, ani przytakiwać, ani zaprzeczać.

Gdy Ruskie zerwali z naszym rządem Sikorskiego w 1943 r. to jednak jakoś do nas sie nie cepiali. U nas dużo bronili te Ruskie, cywile. Nikt nie skarżył, nie donosił, co złe to ukrywali, a w innych kałchozach tak było. Mąż zaufania posed i do dziś nie ma. Nas ratowało i to, że predsiedatiele często sie zmieniali.

Jz
Gdy zerwali z rządem Sikorskiego, to i predsiedatiela zmienili. Przechodził do kałchozu, to on ni miał znajomości z kałchośnikami. Gdyby był stary to by wszystko wiedział, a ten nic nie wiedział. Stale tak było. Ten poszed na front, a drugiego dali i to nas ratowało.

Juz pięć lat minęło prawie i Polacy mówio:

- [widocznie] nie jedziem do Polski - a dzieciaki juz podorastali, wyrosli z nich chłopaki i dziewczyny i mówio do mnie:

- Ty, my musim sie tu żenić, bo my nie jedziem do Polski.

- To co tu za żeniaczka - ja jesce nie był stary chłop. Nie miałem chęci do żeniaczki, bo miałem dużo rodzinę na utoymaniu. Sie ożenić, to zaraz swoja rodzina psepadne, a ja był taki więcej katolik. Licyłem, ze mnie kiedyś Pan Bóg za to wynagrodzi, jak ja będę tak dobrze żył z ludźmi.

Był taki jeden, to przychodził do mnie, to robił walonki, grzebienie. Zrazu jeszce. To jesce jak Polakom była bieda, to mówił:

- Ja sie zapisał na Białorusa, to lepiej mnie uważajo.

- Ty - ja mówie - ty mnie takich głupot to nie opowiadaj. Ja nie chce sobie zmieniać obywatelstwa. - Co później z nim wysło... . Później biero do polskiej armii, ale Sikorski bierze tylko Polaków, a Żydów i Białorusów nie bierze. No i ten Polak-Białorus juz zadowolony, ze go do polskiej armii nie biero, ale później jak wyjeżdżać do Polski, to tylko Polacy, a Białorusini nie i on siedzi, i płacze. Posed sie przepisać [na Polaka] - guzik z tego.

W 1945 r., juz Berlin zajęli, taka kobieta psyjedza do kałchozu specjalnie do Polaków. Dowiedziała się, ze tu dużo Polaków jest, organizacja, szkoła je - Ruskie wiedzieli wszystko. Zebranie z Polakami zrobiła i mówi:

Łz
- Polska jest sama w sobie i wy pojedziecie do Polski. Stalin podpisał z Bierutem, ze ma was odwieść. Prywatnie bedziecie sami gospodarzyć, ale strategicznie bedziecie należeć pod Moskwe. I przy Ruskich gada, że my jedziem do Polski. Jak my zajechali [z powrotem do kałchozu], to te Ruskie mówi:

- Tu mnie włosy wyrosno jak ty wrócis do Polski. - Później patrzy, że my jedziem.

W kałchozie sąsiednim Kazanka był mężem zaufania Rzeckowski z Sochor. To on ze mno sie kontaktował. Później, jak żeśmy robili spisy Polaków do Polski, to był Ruski jeden przedstawiciel i nas dwóch Polaków. Każdy Polak musiał mieć dokumenty, a jak kto ni miał, to nie chcieli brać.

- Tera przyjdo, spisy będo robić i kto Polak to pojedzie. - Na każdy kałchoz przyjechał jeden Ruski wojskowy i dwóch Polaków - mężów zaufania. Ludzie przychodzili i on pisał. I każdy musiał czymś sie udowodnić, że Polak. To my mieli to w dokumentach, ale mój ojciec miał z Polski nakazy podatkowe. Pokazał i w porządku. A był jeden taki z Sokół Jabłonowski. Miał troje dzieci i młodo żone. Przed wojno to był kilka lat w Ameryce. No i oboje zmarli psed wywiezieniem. Zostało sie troje dzieci. Najstarsza dziewczynka miała 14 lat, brat 10 i najmniejsza siostra 8 lat. Trzeba jechać do Polski, a dzieci nie majo żadnych dokumentów. My spisujem, rodzice psychodzo, tu Polacy, a ta dziewczyna przysła i płace. Ja mówie do Ruskiego, niech isch pisze [na wyjazd].

- Jak ja zapise? Macie jakieś dokumenty na nich. - No jak to dzieciak nie ma nic. Ja z Rzeckowskim pogadaliśmy i mówie, że my będziem świadczyć na nio.

- Jakżeż wy bedziecie świadczyć?

- Toć oni niedaleko nas mieszkali. - I my napisali taki dokument, ze pod przysięgo my obaj zeznajem, ze ja od Sokół mieszkał niedaleko, byłem u niej rodziców i znam ich dobrze. I to samo Rzeckowski. I zaświadczamy, że to so dzieci polskiej rodziny. Podpisali my sie obaj i Ruski pisze im dokumenty, a ta dziewczyna jeszce płacze. To my mówim:

- Patrz, jedzies do Polski. - No i poszła jakoś. I jechali z nami. Ich rodzice w Sokołach mieli gospodarstwo. Za jakieś 10 lat jade z Białegostoku przez Łapy, Sokoły. Za Sokołami chłopak idzie taki gruby, zatrzymuje się koło mnie i mówi:

- Panie, poznaje mnie pan.

- Nie.

- A ja pana poznał. Ja pamiętam jak pan poświadał za nami. I my przyjechali do Polski. - No i mówi, żeby ja jechał z nim do Sokół.

- A kto tam u was w domu jest?

- Siostra wyszła za mąż, najstarsza jest na gospodarce, a ja w fabryce cukru w Łapach robie. Niech pan jedzie do nas, choć zobaczy gdzie my mieszkamy.

Jakem odjeżdżał Greczka [Greczynka] ode mnie wzięła ten dom. Tam byli Greki ruskie, tak jak Niemcy nadwołżańskie, to tak samo byli Greki. Tutaj gdzieś na Kaukazie byli. Jak Niemiec szedł, to jech wywieśli na Syberie do nas. Tak samo wykotłowali jch. Później nie mieli oni gdzie mieszkać. To ta Greczka była z małymi dziećmi, a jej brat był kolega mój, ze mno towarzyszył. I jaj oddał ten dom. Co ona mnie dała? Kaszy miała 20 kila. To ja wziął, ale mówie:

- A jak nas wróco, bo to wszystko możliwe?

- Jak wróco was, to ja ustąpie z tego domu - i ja napisał tako umowe.

No i robimy my ten spis i majo nam dać darmo z kałchozu furmanki do przewiezienia nas do stacji kolejowej. Tam furmanki miał tylko kałchoz, a kałchoz nigdy darmo nie zawiózł. A to było w marcu 1946 r. Dostali z urzedu polecenie, że majo dać Polakom furmanki. I dajo, ale jak dajo. Zawołali mnie i Sikore tego, co to jego siostra dzieci ucyła, i mówio do niego:

- Ty musisz zapłacić za furmanki, bo jak nie to nie pojedziesz.

- Ile zapłacić? - pytam sie?

- 300 rubli. - A to kupa pieniędzy była. No my poszli z tym Sikoro. Tam nie można było nigdzie dzwonić, bo telefon tylko oni mieli. Ani do Rajonwojenkomatu, ani nigdzie. I mówie do niego:

- Wiesz co, my dla 300 rubli nie pojedziem do Polski? Ja zapłace.

- To i ja zapłace - mówi Sikora.
- Tylko jak wpłacim, niech on da nam pokwitowanie z pieczątko. Pies go ganiał. Tam coś będzie kiedyś - mówię. I poszliśmy płacić. I mówię:

- Zapłacim, ale pokwitowanie.

- Charaszo, dam wam pokwitowanie - odpowiada sekretarka. Te Ruskie to strasznie głupi naród. On nie wiedział, jakie to mogą z tego konsekwencje powstać. Myślał, że tylko on jest bogiem w kałchozie i więcej nic już nie ma, a Polak nic mu nie zrobi. Zapłaciliśmy i dobra.

Odwieśli nas nie do stacji, tylko do rejonu (50 km), bo to były wielkie śniegi. I tam nas w cerkwi zwalili. Tam zboże sypali do niej. To cała cerkiew tych Polaków była. Jeden przy drugim. Ja na drugi dzień poszed na miasto i pytam się, czy jest tu rajwojenkomat. Mówio, że jest. Mówię to Sikorzaka:

- Chodź, idziem. Bierz kwitek. - Zachodzim. Oficer przyjął nas z uważaniem.

- Polacy?

- Tak.

- Aha, jedzicie do Polski.

- Tak.

- Coście tu przyszli?

- Proszę pana. Ci nas mieli darmo wieść, a my musieli płacić za furmanki.

- Aaa, darmo było, było zarządzenie w kałchozie. Darmo mieli.

- A ode mnie i od niego wzięli pieniądze.

- Baa, ale żebyś wzięli pokwitowanie, a tak to co ja zrobić.

- My mamy pokwitowanie - ja mówię.

- To pokażycie. - Ja wyjął, Sikora też. Pieczątko kałchozu: Samsonówka na wstriecku, tyle i tyle rubli zapłacił za przewóz.

- Padażdi! - krzyknął oficer, chwycił za słuchawkę telefonu i dzwoni do kałchozu.

- Wzięliście od tych i od tych pieniądze?

- Taak - mówi sekretarka Priedsiedatiel kazał.

- Jest preidsedatiel?

- Zaraz - rozmawian on tam z nim, rozmawia. Położył słuchawkę i mówi:

- Jutro rano o ósmej przychodzita i on przywozi pieniądze. - No i rano przychodzim. Siedzim. Wchodzi ten priedsiedatiel. Ja stał i mówię do niego:

- Zdrastwój. - Nic się nie odzywa do mnie. Poszed do tego oficera i coś długo tam z nim gadał. Bardzopodobnie gadał, żeby mnie zamknąć, że mnie nie należało się jechać do Polski, że ja robił Polske na Syberii.

- łeby jeszcze trochę, to tam u nas w kałchozie Polska by powstała - mówił - On był wrogiem narodu. Jego by się należało do ciurmy. - A oficer pomyślał i tak mówi:

- To ty teraz dopiero mnie mówisz jak on jedzie do Polski i już ma dokumenty? Międzynarodowy paszport on dostał. Dlaczego ty bez tyle lat nic nie mówił? Zabieraj się stąd i uciekaj. - Tak mu powiedział. Na włosu wisiałem. Gdyby on to wcześniej zrobi, kacapów podał dwóch na świadki w kałchozie i dyche bym był dostał i nie wrócił. Tylko poplątało mu się w głowie.

W tej cerkwi siedzieliśmy tydzień czasu i czekali na transport do stacji. Przepcheli droge od stacji do rejonu i samochodami ciężarowymi zabrali do stacji. Tam czekaliśmy znów tydzień, tak samo w cerkwi, na podstawienie wagonów. Wagony podstawili a my sobie chodzili. Tam nas już nikt nie pilnował. Młodzież chodziła, a ludzie stare spali na workach swoich. No i liczyliśmy ile wagonów było, to 52 wagonów było. Wtedy przyszed transport darów z Ameryki. Były tam konserwy dla ruskich żołnierzy, to i nam dali.

Załadowali nas i ruszyliśmy. Jechaliśmy już bez żadnych przerw. Przyjechaliśmy za Wołge,

do centralnej Rosji i tu znowu sie zatykało. Gdzie duże miasto, to trzeba było stać pół dnia i więcej. Po wojnie, to oni mieli tych transportów pełno. Jak w dużym mieście zatrzymywaliśmy się, to podjeżdżała polowa kuchnia i dawali nam kawę, raz na dzień zupę i po kawałku chleba. Chociaż z jedzeniem było już lepiej, to jednak ludzie umierali, bo byli wynędznieni, wygłodnieni. Cóż można było zrobić. Wtedy kazali się zatrzymać, wykopali dół przy torach, owinęli w szmaty i zakopali. Nawet krzyża nie było z czego zrobić, patrzyli tylko żeby przędeż, żeby pociąg nie odjechał. Takich wypadków było z kilkanaście.

Rukie maszyniści to niejeden był rzetelny, a niejeden to był wredny. Nieraz stojem w mieście, to ja mówię do tego maszynisty:

- Długo będziem stać?

- Pół dnia.

- To ja pojedę do miasta. - Coś się kupi do żywności, wiadomo. Ja wziół i pojedę. A to na Wóldze główne miasto to był Saratow chyba czy jak. Wracam, a transport odjechał. Skurczysyn maszynista naumyślnie mnie tak powiedział. Zaszłem na stacje kolejowo i pytam się dyżurnego:

- Powiedział mi ten od parowozu, że będzie stojął i odjechał. Co ja tera mam robić?

- Do tego i tego miasta odjechali. Zara będzie pociąg osobowy. Siadaj i jedź. - Nic mi nie gadał, żeby ja bilet kupił. Dobry był człowiek. Bedzie kara, to bedzie ale jade, na razie biletu nie kupalem. Na szczęście to drugie miasto nie było daleko. Jade, jade i patrze, że stojo jakieś towarowe wagony, a na każdy wagonie, gdzie jechali śniadowiaki, to na drzwiach napisane było tako biało kredo dużymi literami ŚNIADOWO, gdzie indziej było BIAŁYSTOK czy ŁAPY. Patrze, że Śniadowo pisze. Ło bracie. No, ale pociąg stojął na towarowej, a ja jechał dalej, na osobowo [stację], no ale pociąg już folguje w mieście. To ja wyszed na trep, patrze pociąg troche folguje, patrze żeby tylko gdzieś słupa nie było i bryk z wagonu. Patrze, że matka stoi już taka na pół żywa, a brat zobaczył mnie i ksycy:

- Mama, Teofil idzie. - Pojawił się, chociaż już nie wierzyli wcale.

Jechaliśmy aż do granicy samej w Brześciu. Tam jest rzeka. Tam cały transport zatrzymali. Przyszli pograniczniki, zrobili nam rewizje. Powiedzieli:

- Kto ma pieniądze, niech odda. Kto ma złoto, niech odda. - No, kto był jak my z Rosji, to tego złota nie miał. Pieniądze ruskie to bojeli się, to oddawali. Ja tam te pare rubli co za podszewkę wsadziłem to im oddałem, ale oni tylko zajrzeli do tych naszych torbów tymi sztykami, takimi żelaznymi. Ale kobietom obrączki zabierali, która miała z Polski. Złodzieje. Kobieta w płacz, a ja mówię do tych babów:

- Do dowódcy idziem. - Poszli i mówim, że zabirajo obrączki. Ona mówi, że monogram polski jest, wszystko. To dowódca krzyknął:

- Raaaz, zbiórka. Pokażta cośta zabrali. Wszystkie pierścionki. - Oni wykładajo. Spojrzał:

- Toż to polski monogram - mówi i oddali tym kobietom, ale nie ukarał tych swoich żołdatów.

Później przejeżdżali my przez Brześć, to Ruskie stali na trepach, pod bronio. 15 czy 18 maja my przejechali rzeke, a tu polski dowódca stoi, polska straż graniczna. Wagony roztwarte, żołnierze stojo. Pociąg zatrzymał się. Do polskiego dowódcy przysed ruski, dał mu listę naszo i mówi:

- Policz ich i pilnuj.

- Ja ich nie będę pilnował. Oni przyjechali do Polski i gdzie kto chce może jechać. - A kobiety zobaczyli żołnierzy, że stojo przy wagonach z karabinami:

- O, żołnierz polski - któraś krzyknęła i zaczęli płakać, i żołnierze zaczęli płakać. Popłakało się to wszystko. Powychodzili do sklepu ludzie, ponakupywali różnych rzeczy, a oficer mówi:

- Kto chce niech jedzie i czy kto chce. Za te dokumenty co macie, to miesiąc czasu

możecie jeździć po kraju bezpłatnie. Szukajcie sobie mieszkania, pracy. - To ja siadłem zaraz w osobowy - bo szybciej - i jade, a rodzice i rodzeństwo zostali w transporcie, który jechał tam gdzie trzeba było. Wziąłem jedno konserwe, to amerykańsko i w droge.

W Małkini wysiadłem, razem ze mno była taka dziewczyna z Łap. Poszliśmy do UNRR-y. Tam dali nam śledzia, łachy jakieś, dwa lewe buty dali mnie. Tu zaczekałem na następny pociąg. W nocy nadjechał też nasz transport. Najdzina, żona Najdy, zobaczyła, że ja jade osobowym, krzyknęła do mnie:

- Panie Teofilu, pan zajdzie do Śniadowa i powie mojej mamusi, że ja jade, żeby po mnie wyjechała na stacje. - No i ja przyjechał na to stacje, przysłem do Śniadowai i idę do matki żony Najdy. Pukam w nocy w okno, ale bojo sie roztworzyć, bo ja w wojskowym ubraniu, w amerykańskim battledresie. No, wreszcie odzywa sie babina i pyta sie kto. No to mówie, że z Syberii jado i pani córka jedzie i kazala mnie powiadomić panio. No to ta podeszła do okna i roztworzyła mnie i mówie, że ja wsiad w osobowy, ale córka zara jutro przyjedzie.

- To ja panu chociaż kartofli troche przygrzeje, kiedy pan z Syberii.

- ja pójde do domu.

- Zje pan troche kartofli - nie puściła mnie. No i gdyby nie te kartofle, to bym juz nie żył. Ona mnie te kartofle grzeje. Tam jej córka z zięciem spała, to sie obudziła. No ja zjad tych kartofli i mam juz wychodzić do drzwi, jestem w sieni, a tu nagle drrr, buch, buch, drrr... .

- Wróć sie pan - krzyknęła szeptem kobieta. A tu posterunek był na rogu, koło kościoła.

- Partyzanty przyszli posterunek robrajać - mówi - I zeby pana zobacyli w wojskowym ubraniu i żeby wiedzieli co pan za jeden, to nie, ale tak to zara zabijjo. Poceka pan, to sie zara skońcy, bo to nieraz juz tak było. - Juz sie przyzwycaili. No, ten posterunek sie poddał, rozbroili i poszli. Nareszcie zaczyna sie rozwidniać.

- Tera może pan iść - powiedziała kobiecina.

Ide przez Śniadów, Zalesie do Radogoszcza, bo tam mieszkał i widze, że tylko przez firanki w oknach wyglądajo. Jak sie obejrze, to myk, sie schowa. W domu była moja siostra, bo jak nas tam nie było, to robiła u nas ze szwagra bratem na polu. No i wyszedłem na kolonie Radgosc i patrze, że budynki stojo. Coś jest. Podeszłem blisko i brat szwagra poznał mnie.

- Ty nie odzywaj sie - mówi - pójdziem do domu i zobacym, cy cie siostra pozna. - No i wchodzim tam. U siostry dwóch takich chłopaków po 6-7 lat było. Ja w długim szynelu wojskowym. Siostra gotuje.

- Dzień dobry - powiedziałem. Usiadłem przy stole i nic sie odzywam, a ona tylko patrzy tak spod oka na mnie, a szwagier rozmawia ze mno i w końcu mówi do niej:

- To ty nie poznałaś swojego brata?

- Który to, bo dwóch mam? Teofil? - No, ja nieogolony byłem... . Odjeżdżałem to miałem 17 lat, a teraz 23. - wstawajta, bo wujek przyjechał - krzyczy siostra do synów. Noo, przywitala sie ze mno, zara obiad już mnie szykuje. Pogadałem z nio i zara poszłem do sąsiadów, co to im rower oddałem, bo to blisko. Zachodze, oni wychodzo oba, bo to koledzy.

- Jednak wróciłeś - przywitali. Rozmawiamy o tym wozie, o rowerze i mnie wysztko mówio, gdzie to jest.

Jak później mnie Krajewiak opowiadał, to niedługo po naszym aresztowaniu przysed do niego z "Piasek" sołtys z Bolkiem Andrzejczykiem i mówi:

- Tutaj Lipki jest rower i wóz, to ja oddaje go sąsiadowi, bo on ni ma - tak był cwany. Ale Krajewiak słyszał juz wcześniej, ze oni majo przyjść po ten wóz i rower, to rower oddał siostrze mojej, która była w Głęboccu i powiedział do sołtysa:

- Rower siostra zabrała. - No, ale wóz sołtys zabrał. Ale, że Krajewiak wiedział, że wóz majo zabrać, to zdjął "gnojówki" i "drenicy" i powiedział dla sołtysa, że to było nowe i bez

"gnojówek" i bez "drenicy".

No wróciłem ja od tych sąsiadów do domu. Był już wieczór. Było ciepło. Nasze jeszcze nie przyjechali.

- W stodole mata słome?

- Tak.

- Ja będę spał w stodole. - No i położyłem się tam spać. Po jakimś czasie czuje, że ktoś mnie ciągnie za marynarkę. Odkręcam się i słysze:

- Wstawaj Teofil. - Patrze automat na plecach, hełm na głowie. Jakiś taki mały. To chyba Boguski z Wierzbowa.

- Czego chcesz?

- Przyszli my ciebie odwiedzić.

- a skąd wy wiecie...

- Widzieliśmy jakieś szed - mówi zadowolony - Chodź na podwórko. Zobacysz ile nas jest. - Wychodze na podwórko i rzeczywiście - całe podwórko stoi jech. Wszystkie w szeregu, tylko brzękają karabinami. Kurka wodna. Witajo sie ze mno kolejno wszyscy. To był oddział "Dziadka" i "Zbycha" z NZW. Było ich ze 20-30. Wszyscy umundurowani.

- Poznałeś nas?

- Noo, w nocy akurat poznam.

- Poznas nas. Będziem do ciebie psychodzić. Dobrze, żeś przyjechał. - No i później bez przerwy do mnie zachodzili, aby tylko coś, to zara do Teofila. Robili cyszenie broni, to ćwiczenia, siostry im gotujo jedzenie, a te karabiny na kupie na stole leżo, na podwórku, wszędzie.

Nieraz tak było, że oni rozmawiajo, cy ja nie zapomniał, kazo ćwicyc sie. Zara brata ćwico nareście patrze: UB idzie od Krajewskich, od sąsiada, przez pole, w mundurach, z bronio. Oni zara ich poznali. Jak idzie jakichś pięćdziesiąciu - stu chłopca, to drugich takich partyzantów ni ma i raz na przeciw budynków wycofujjo sie, kłado sie na ziemi. UB chodzilo po koloniach, bo tam ktoś musiał cynga stale dawać. Przyszli i pytajo sie:

- Nie ma u was jakiegoś wojska? - Był tam taki Sikora. Spojrzał na tak mnie, ale ja twardo mówie:

- Nie ma. Nikogo nie było. - Zabrali sie i poszli. Nieraz to rewizje robili w stodole, w mieszkaniach. A raz to tak mnie zrobili. Desc troche padał i rozmawiajo psy mnie, gdzie to tam co było, ze to tam gdzieś napad był i jeden mówi:

- Pójdzies z nami niedługo. Zobacysz, jak nam sie powodzi. - No i napad gdzieś jakiś był i patrzymy UB już blisko za stodoło. Tak nasi te ciężko broń zostawili w stodole, bo to był desc, przyrzucili jo sianem i sie wycofujjo.

- Dlaczego? - pytam.

- Nie zdążym. - A to było zboże duże i wycofali się w zboże. A ja tak sobie dumam:

- Teraz to już myśmy przepadli - ale stoje na podwórzu. Przychodzo ubowcy, jest i Sikora. A on w Dębowie był żonaty z Milewianko. On pochodził gdzieś z Łomży, a jego rodzinne partyzanci wybili, tylko on został. I on taki był na nich zawzięty. No i przychodzi do mnie Sikora i ja czekam, że zara wejdo do stodoły i sprawdzjo.

- Był kto u was? - pyta sie Sikora.

- Nie, nie było nikogo. - Patrzy tak dookoła.

- No, idzemy - zadecydował i poszli do Radgosca. Ja patrze: to my żyjem! A ja już myślał, że nie żyjem, koniec już. Przychodzo później nasi i ja mówie do nich:

- I co byśta zrobili z nas? Dopierośmy przyjechali z Syberii i co? Maskara by była.

- No, nie zdążyliśmy - tłumaczyli się. Partyzanci, to jak psysli na kolonie, to juz myśleli, że bezpiecznie. Nieraz to zobaczyło się ich [UB-ków] jak tylko od Krajewskich wyszli, to pół

kilometra, to można było..., a nieraz to już pół kilometra przeszli i wtedy już trudno się wycofać z ciężko bronio, a lasu tam nie było.

Te partyzanty to swoje chłopaki wszystko byli. Zawsześmy się spotykali wieczorem w Zalesiu [kilkanaście lat później], te co byli, ale już powymierali, inni do Szczecina powyjeżdżali.

Znałem i "Madeja", i "Cygana", co dostał karę śmierci. Widział się ze mną w Białymstoku, jak ja jechał na sprawę. On na wszystkie sprawy jeździł, wydawał [ludzi], ale na mnie nic nie powiedział, a przecież ile razy u nas bywał. Pamiętam był odpust w Kleckowie i "Zbych" był tam z jednym. Chyba z Szablówiakiem z Szablów Starych. Z karabinem był. Tamten uciekał i go ubowcy zabili, a "Zbych" mówił do mnie, że rzekomo oni [ubowcy] krzyknęli do wszystkich: padnij i ludzie padli, "Zbych" razem z nimi, a Szablówiak dalej uciekał.

- Oni polecili za nim - mówił - A ja w tym czasie w drugą stronę, wpadł na konia i - przyjechał do mnie na Radgosc - mówi dalej:

- Pats, jakie miałem szczęście - i pokazuje całe portki postrzelane między nogami. Pats, jak nie wiezyc - A czy on sam się postrzelał, czy jemy postrzelali, to ja nie wiem. To było w 1947 r. jakoś latem.

A co to było z tym wozem, jak on prędko mnie go oddawał ten chłop. Przyszedł do mnie "Dziadek" - ten "Bąk" - i ja mówię do niego:

- Wie pan co. Nie chce ja, żeby on beze mnie [przez mnie] zginął, tylko niech on odda ten wóz. Nie chce, żeby zginął, pies go ganiał. - I "Dziadek" dał pismo i posłał dwóch chłopaków: za 24 godzin u Lipki na podwórku ma stać wóz. - Taak. Migiem go oddałem. Ja patrze, a za 2 godziny, rano, on już jedzie konno do mnie. Pyta się:

- Chcesz ten wóz, czy pieniądze ci dać? - A ja na to:

- Słuchaj. Po coś ty ten wóz brał? Ja Krajewskim dał ten wóz i oni mnie by byli oddali, bo to sąsiady, a po coś ty jego brał? Po co ty na cudze lecisz?

- Wiesz co - odpowiedział - człowiek całe życie się rozumem uczy i głupi. Mnie wóz ten tak był potrzebny, że... . To przez tego sąsiada, sołtysa. On mnie jego wlepił. Powiedział: Chodź, będziesz miał wóz.

- Pewnie pół litra jemu dałeś, bo on pił? - powiedziałem na koniec. No, że ja sam szelmachem byłem i robiłem wozy po powrocie z Syberii, to powiedziałem mu:

- Zapłać mnie pieniądze. - I tak z tego wozu to już nic nie było, jak on go używał przez 6 lat, bo przecież tyle my na Syberii byli. On zresztą dawał mi i nowy wóz, dawał wszystko co ja chciałem, ale już nie chciałem być już taki dla niego, jak on dla mnie.

A Krajewiak to powiedział:

- "Gnojówki" to ja ci zużyłem, ale oddam nowe.

- Ty mnie nie oddawaj, daj mi tylko deski, to ja się sam zrobię. - Odpowiedziałem.

Krajewski, ten nasz sąsiad, to opowiadał, że po wojnie Dębowski nie dali im żyć. Co tylko jakieś święta: Wielkanoc czy Boże Narodzenie, to przychodzi kilku z karabinami (znał ich, wiedział które, tylko bojał się powiedzieć, już oni nie żyją - to byli: Komorowski Zygmunt, był w moim wieku, i jego kumple) i mówio: świniaka macie przygotować nam za trzy dni. A chłopaki nie znali żadnej organizacji, nigdzie nie chcieli należeć i wszystkich się bali i bojeli się komu o tym powiedzieć. Nie wiedzieli, co to za organizacja. A ci z Dębowa należeli początkowo do AK, ale później się AK rozwiązało, a oni bronie nie zdali i dużo takich było, co wysli na lewo w nocy, i kto im udowodni. Ale to się wszystko skończyło, jak my wrócili i wtedy Krajewski odżyli.

"Dziadek" z organizacją przysli do nas zaraz pierwszej nocy, chłopaki przysli i później przychodzili stale i Dębowski już się bojeli do Krajewski przyjść, bo dostałby w całość za

takie coś. Dębowiaki chodzili do Krajewiaków, bo wiedzieli, że ci nie doniosą nigdzie, bo takich, co należeli do organizacji, to takich się bojeli, bo taki to albo by doniósł dla organizacji, albo sam by z za węgła rąbnął w łeb w nocy i już.

Po powrocie do kraju musiałem zameldować się tylko w Urzędzie Gminy. Na milicję nie musiałem iść.

Ja w maju wróciłem, a w czerwcu było referendum. Ja do kościoła w Kleczkowie chodziłem i tam byli wybory. Zawsze jak ludzie wychodzili z kościoła, to zawsze ubowce obtoczyli kościół i przeglądali dokumenty [wszystkim ludziom], ale ja miałem dokument repatriacyjny i cały miesiąc mogłem się nim posługiwać i do mnie nic nie mieli. Później jeden z nich lał na trybunę i gadał:

- Chłopy! Kto należy do partyzantki, ujawniajcie się, nic wam nie będzie. Ja byłem akowcem temu pół roku, a teraz mam stanowisko. - A chłopaki tylko spod oka patrzyli na niego. W referendum to ja wcale udziału nie brałem, bo chyba nie byliśmy jeszcze zarejestrowani, ale nie czepiali się do nas wcale. Ludzie to wcale nie chcieli brać [udziału w referendum], to oni jeździli po wsiach i samochodami brali. My mieszkaliśmy na kolonii, to jakoś omylili nas.

Na wybory w styczniu 1947 r. my chyba nie chodziliśmy. Nie pamiętam nic o tym, tylko ludzie nie chcieli iść. Chyba my nie chodziliśmy. Tu jeszcze partyzantka działała, jeszcze ubowce tak na wsiach..., to nic nie widzieli, jeszcze niebezpiecznie dla nich było. A później, już w 1948 r. to oni się wzmocnili, chodzili grupami.

Organizacja to straszyla tych ludzi, co tę ziemię brali z reformy rolnej i takie gospodarze lepsze nie chcieli brać, tylko szło takie słabe, dworskie... . Do tych dworskich, co to we dworze byli, to nic nie mieli, bo oni tam pracowali i im [komuniści] dawali najwięcej. Później reszta, co zostało, to takim biedniejszym dodawali. Nie powiedziałbym, że z dworskich to najwięcej komunistów się wywodziło, bo oni się nie mieszały. Te stare ludzie to się bojeli, ostrożni byli. Przeważnie [do komunistów szło] najwięcej takich mądraków, kombinatorów. A później, jak się dowiedzieli [organizacja], to dali mi w skórę, to jego żona przysłała do księdza [i lamentując skarżyła się]: on nie należy nigdzie, pobili mnie męża.

- Jak ksiądz wierzy tym babom - mówię do niego. A to baby się najdo i plotki gadają, a łon im wierzy.

Jak psyjechałem z Syberii, to jeszcze raz złożyłem psysięgę. Odbierał ją ode mnie "Dziadek". To był jeden z jantwarszych Polaków, tak samo jak i ten Niedźwiedzki. On powiedział, że nigdy broni nie złoży, dopóki komuna w Polsce.

- Zginie, ale broni nie złoży - powiedział. Często nocował u mnie. Raz przychodził wieczorem, szarówko już, jakiś chłop w cywilu, koło pięćdziesiątki i pyta się:

- Tu jest Łebrowski?

- Ni ma nikogo. - Psy zaszczekali, a "Dziadek" siedział w mieszkaniu. Jak ja wyszedł, to "Dziadek" pistolet w rękę i za drzwi w sieni. Ja rozmawiam z tym chłopem, ale mnie nie mówi, co on za jeden; a to był z za Białegostoku, nad "Dziadkiem" był dowódca. No i rozmawiamy, a "Dziadek" usłyszał jego głos, poznał i patrzy, a "Dziadek" wychodzi z za drzwi i wita się z nim. Poszli do oddzielnego mieszkania. Gdzieś po dwóch godzinach poszedł. Później pytam "Dziadka", kto to był, a on mówi:

- To jest nasz dowódca Okręgu. - Chyba że "Błękit" się nazywał.

Jak była amnestia w 1947 r., to ja rozmawiałem o niej z "Bąkiem" i "Zbychem", ale o ujawnieniu to z nimi nie było żadnej mowy. Powiedzieli, że NSZ się nie ujawnia, AK tylko. No, kto mało chodził już później jak było słabo, to się ujawniał. Do oddziału to brali tylko samotnych, a kto miał rodzinę, to go puścili do domu. I to coraz więcej było komunistów na wsiach i trudno było się utrzymać. Zabili jednego, bo podejrzeli, że komunistą, ale [to nic nie dawało im] coraz gorzej było.

A tera jekie te ludzie mądre so, jakie mocne. Jak ja zajde do Chomentowa - tam kiedyś to wszystko było partyzanty - a teraz oni wszystkie gadajo na partyzantów. Dlaczego wtedy nie gadali, tylko tera, jak ich nie ma? To nie honor chłopca gadać na swoich jak ni ma, nawet żeby byli najgorsze. Dla swojej rodziny to tak sie nie robi, to przecież organizacja to sie liczy rodzina.

"Dziadek" to sie przyzwyczaił do tej partyzantki i se nic nie robił. Tako szed na śmiałego. Ja jeszcze wtedy nie był żonaty, bo sie ożenił w 1947 r. na jesieni. Toż ja wtedy przesed do Mężenina i "Dziadek" znowu tu do mnie zachodził. Wiadomo, stary znajomy. Jak tylko coś śle, to tylko do mnie. I później taka zdrada powstała.

W 1948 r., w 1949 to "Dziadek" tylko z synem chodził, bo powiedział że do "Zbycha" nie ma zaufania, podejrzenie miał do niego. Mówił, że raz sie z nim "Zbych" widział, ale:

- Ja kazał - opowiadał mnie - synowi z dala stać i pistolet trzymać w ręku, bo to rozmaicie może być. - To chyba było jakoś na początku 1948 r., styceń, cy... .

- Ze mno rozmawiał krótko - opowiadał dalej "Dziadek" - i nie chciał długo rozmawiać, i powiedział że jesce sie raz spotkamy. Później mnie ludzie donoso - mówi "Dziadek" - ze jego ktoś kontaktuje [z UB]. - A to miał go kontaktować Franek [Głębocki] i jakaś kobieta. - I "Dziadek" chciał "Franka" sprzątnąć, ale nie mógł do Zambrowa sie dostać. Aha, pod Tabędzem, na kolonii, jak sie jedzie od lasu, to mieszkał jeden człowiek, co "Zbycha" chciał kontaktować z ubowcami. To "Dziadek" mnie mówił.

Bardzo podobnie wydał to ten Łuba Czesław z Mężenina. Niechcący wydał. "Dziadek", to był jego żony kuzyn. On ["Dziadek"] tam i na Grabowie przebywał, w Olszynach i u nich w domu. Później na jesień przesed do mnie. Ja jemu mówił, żeby on ostrożniej z tym Cześkiem, bo on lubił dużo mówić, żeby Łuba nawet nie wiedział, że "Dziadek" jest u mnie, no ale ja on ["Dziadek"] przysed z nim do mnie. No i "dziadek" siedział u mnie pare dni. Wtedy akurat Zakrzewski Tadek przysed z więzienia. Jego i dwóch kolegów złapali z bronio jak na rowerach jechali z Nadbora jako wywiad i ktoś ich udał do UB, i ubowce złapali jech z granatami, z bronio, ze wszystkim. Był chyba u "Dziadka" i "Zbycha". Sądził go w Warszawie, bo Piski należo do Ostrołęki, a to już było województwo warszawskie, i dostał 10 lat. Odsiedział 4 lata a 6 mu amnestia zdjęła. Wyszed chyba we wrześniu. No i "Dziadek" był u mnie, no przysed do stodoły, bo to stary kumpel. Tam gadaliśmy nieraz z tym "Dziadkiem" o Tadku. Potem i Łuba Czesiek był z tym "Dziadkiem", ale każdy liczył, że to tylko take spotkanie. Później, bardzopodobnie, że chyba Łuba pożyczył u "Dziadka" pieniędzy. Nie wiem ile, mnie "Dziadek" mówił. No i "Dziadek" mówi do mnie:

- Wie pan co. Dzisiaj Łuba pojechał do Zambrowa sprzedać krowe, odda mnie pieniądze i ja na pare dni wyjde, bo w razie tu UB... .

- A później za pare dni pan przyjdzie? - Bo to nieraz tak było, UB wpadnie, a ni ma nikogo, znacy sie ze śle im gadali i wiecej mogo nie przyjść. Tak nieraz wszędzie było. A Łuba Czesiek pojechał do Zambrowa, sprzedał krowe. A tam w Zambrowie mieszkał Głębocki Franek. Jego brat Janek "Brzytwa" to chodził ze "Zbychem", a Franek chyba był najpierw w AK, a później bardzo podobnie w partii. Chyba, ze go ubowce wciągnęli, bo on w Głębofczu najpierw mieszkał i NSZ [NZW] chciało go zabić. To coś tam było podejrzone. I on uciek do Zambrowa i zara dali mu tam mieszkanie, bo pracował z nimi. To opowiadał mi jego brat Janek, bo siedział razem ze mno. I mówił, że Franek z ubowcami do niego psyjeżdzał do więzienia. Franek i Janek to nasze takie dalekie kuzyny ze strony żony. Jej matka pochodzi z Tabędza i jakies ciotecne so. Aniela Jastrzębska, żona brata "Zbycha", to ciotka mojej żony. No i jak Franek spotkał sie z Cześkiem Łubiakiem w Zambrowie, po tym gdy ten sprzedał krowe i mówi do niego:

- Czesiek, chodź na pół litra. - A Czesiek myślał, że Franek to nadal ten sam Franek, co to był kiedyś w AK, i siedzieli se w restauracji i pili. No i podobnie Franek go się spytał:

- Ty, gdzie so te moje, wiesz o kim mówisz? - No i Czesiek musiał powiedzieć, że so u mnie. I ten podobnież zara zadzwonił i już z wieczora psyjechali do Mężeninina. Jesce Czesiek nie przyjechał z Zambrowa, bo pojechał do Śledzi, do siostry, to już UB było w Mężeninie, obtoczyło. Później, już po wyjściu z więzienia pytałem się Cześka:

- Ludzie wiedzo, że ty powiedziałeś w restauracji... - Czesiek jednak zaprzeczył:

- Ja z nim [z Frankiem] nie gadał. - Ale w restauracji siedział z Jemielitego Sierzputowiak Adam (kombatant z wojny 1939 r.), a on znał i Cześka i Janka, no i opowiedział mi co widział. Nie słyszał o czym rozmawiali, ale widział. Jak z tego wynika Franka pewnie ubowce samochodem przywieśli, żeby pokazał im moje budynki, bo oni same nie wiedzieli, gdzie my mieszkamy. Tak przypuszcza Tadek Zakrzewski, że to pewnie jego robota, a Tadek w Mężeninie, to mój sąsiad.

Jak to z "Dziadkiem" było? Był u mnie pare dni i - jak mówiłem - miał na pare dni iść gdzieś, gdy to ten Czesiek Łuba pojechał do Zambrowa krowe sprzedać. I tego wieczoru - 3 grudnia 1949 r. - "Dziadek" bardzo podobnie w Wypychach był, a jego chłopak był sam u mnie. I jego ojciec psysed na wieczór do mnie, jescem rozmawiał z niemi. Tylko się ściemniło, my kolacje zjedli, wchodzi UB do mnie, do mieszkania. Ten ich szef gruby, taki carny, w cywilu, reszta w mundurach. I mówi, że:

- U ciebie w stodole jest Łebrowski z synem. Dwóch bandytów.

- Nie widziałem takich w stodole - odpowiedziałem.

- Jest - powiedział pewnym siebie głosem. - Słuchaj - mówi - i zabrali mnie do drugiego, pustego, mieszkania.

- Powiedz gdzie oni so, my ich złapiem i ciebie wcale nie będziem brać. Nic ci nie bedzie.

- Proszę pana, żeby ja wiedział, gdzie on tam je, to ja bym naprzód panu powiedział, ale jak ja nikogo nie widział, to co ja moge?

- Co ty... . Jeest u ciebie!

- Ja nie widziałem nikogo. Ja stodoły na noc nie zapieram na kłódki, trzeba się upewnić, ale nie widziałem nikogo.

- Powiedz, to uratujes sytuacje, a tak to zgnijes w więzieniu, a jak nie to jescie ciebie zabijem.

- Nie widziałem nikogo - upierałem się dalej - i nie moge powiedzieć, bo jakem nie widział skąd...?

- Dobra, stawaj pod ścianę. - Stałem pod ścianę, a ubek mówi do żołnierza:

- Odciągnij automat [zamek Pepeszy] - i do mnie - Ja będę licył. Pamiętaj, żeby ja nie powiedział trzy. Jak ja powiem trzy, to już choć byś chciał, to nie powies. - I liczy:

- Raz - ja stoje - dwa - ja stoje i czekam kiedy powie trzy. Przepadło, wola Boska, ale nie mówi trzy. Troche tak odciągnął. Ja patrze na niego, on spojrział tak na żołnierza i mrygnął do niego. Ten opuścił karabin. Tera ubowiec wyjmuję zesyt:

- Podpis sie, że jego ni ma.

- Ja sie podpisem, że jego nie widziałem w stodole - mówię i podpisuje sie.

- To skurczysyn - mówi ubowiec do żołnierza.

Kazali mnie psa zara wziąć, bo pies szczekał.

- Tego psa zawołaj, bo oni uciekno w nocy. Dawaj go tutaj - i psa do komory wsadzili. To była już jakaś 11 godzina i przychodzi żołnierz i melduje:

- Obywatelu - jakoś tam go nazwał - wyszed jakiś chłop ze stodoły dzickami [przez drzwi, wrota].

- Jak wy pilnujeta?! Gdzie posed?

[2] - Posed w ścianki, ale on nigdzie nie pójdzie, bo tam wśędzie obtocone. Nie moglim go łapać, bo jeden wyszed. (A później jak ja sie zgadał, to był Tadek Zakrzeski. Jak mnie mówił, to chciał z nimi nocować, ale "Dziadek" powiedział: Ja nie potrzebuje zadnych kumplów na noc. Zabieraj sie i idź do domu. - I ja posed - opowiadał Tadek - Całe szczęście, że mnie wygnał). No, wtedy o tym to ja nie wiedział i tak se dumał: Jak wysed jeden, to wysed i drugi, to znacy, ze tam juz ich ni ma. Niech oni do stodoły Zakrzeskich dojdą, to juz dobre. Ja był pewien, ze jech ni ma i twardo stoje.

No i cały czas tsymali mnie w domu, do rozwidnienia, bo sie bojeli, ze w nocy to on ma szanse do uciecki. Oni siedzieli na ławce, a ja stojał cały czas. Wtedy jesce był młody chłopak, to co tam dla mnie. Rąk nie kazali podnieść do góry. Gdy rozwidniło sie powiedzieli:

[2] - Chodź. - Ja wyszed z nimi. Patrze: między stodoła a domem, pod parnikiem stoi karabin maszynowy, za chlewem stoi z automatem. Musiałem iść do stodoły.

- Tylko który z nas zginie, to ty nie wrócisz stamtąd - powiedział do mnie szef UB. - Ja ich miną, poszed do stodoły, na jedne klepisko weszłem, zajrzałem do zasieka - no, nie zaglądam tam gdzie oni leżą - patrze na drugie klepisko i mówię:

- Ja ich nie widze - ale to tak głośno mówię, zeby wszyscy słyszeli - Nie widze tutaj nikogo. - A ten szef UB stojał za węgłem i krzyknął:

- So! Roztwieraj wierzeje! - Ja poroztwierał wierzeje a ten szef UB mówi:

- Wychodź ze stodoły, bo podpalamy budynki. - I tu odzywa się "Dziadek" takim donośnym głosem:

- Tak jest. Wychodzim. - Już widać, że oni sie ubrali i wszystko. Wybryknęli z tej słomy, na klepisko koło mnie się spuścili. "Dziadek" miał 2 pistolety, a ten drugi [jego syn "Konar"] miał żelazny automat, na piersi naboje. I biegną za stodołę. Ja stał, nic sie nie odzywał. Zasmucony, bo miał nadzieje, ze ich nima. I dopiero zaceła sie strzelanina. Ja wyskoczył ze stodoły i układałem sie w taki dół, bo co to długo - zabij. Patse: moja stodoła juz sie fajcy i sąsiada stodoła juz zacyna [się palić]. Patrze: "Dziadek" wyleciał i biegnie w kierunku olszyny, i syn wyleciał. Nareszcie te z podwórka grzejo do nich, syn zachwiał się i krzyczy:

- Tato! Jestem ciężko ranny - i zwałił się na ziemię, tak jakby śmiertelnie [był ranny]. To było ode mnie jakieś 15-20 metry. "Dziadek" zara sie wrócił, ukląk przy głowie syna, przeżegnał się, przystawił mu pistolet do głowy i dwa razy strzelił. Tamcie jeszcze krzyceli do niego:

- Nie bij sie! - a "Dziadek" se przyknął [strzelił] w głowe. On był twaardy. Krzyki dla niego nic nie znaczyły.

[u] Bój sie skończył. Ja wstał. Żołnierz podleciał do mnie z automatem i krzyczy:

- Ty skórwysynu, mówiłeś, że ich ni ma - i tem automatem chce mnie rąbnąć w głowe, a ja grab za to lufe. To żołnierz rzucił automat, odskoczył i za pistolet, a ja został z karabinem w ręce. No, ale potrze, że niedaleko stoi szef UB, dalej reszta z karabinami, co to ja tu będę. Gdyby on był jeden, to co innego, no to ja wziął ten automat rzucił. Wtedy szed podsed i mówi:

- Aresztować go z miejsca. Nie puścić do mieszkania.

Wojsko szło na stacje, a mnie prowadzili za wojskiem. Na stacji chyba 3 samochody stali. Wojsko w cwórki. A z tyłu podlatali do mnie - jak mnie prowadzili - i kopali mnie i cały czas mówili:

[u] [ob] - Ty skórwysynu, bandyto, mówiłeś że go nima. - Gdy zaszli my na stacje, podjechał samochód. Wtedy podobnież Tadek Zakrzeskiego wołali (Tadek był krawcem, szył) i wtedy był u niego taki jeden z Ratowa, co mu ubranie szył, to jego wołali i młodszego brata Tadek -

Tolka.

- Zabiliśmy waszego kolege. Idźta i wrzućta - powiedzieli do nich. No i Tadek kład ich na samochód i widział, że syn "Dziadka" miał wyrwany z tyłu kawał głowy, po tym jak ojciec do niego strzelił, a "Dziadek" też z boku miał wyrwane, jak sobie strzelił. Syn chyba był gdzieś po nogach postrzelany, bo krew sie łała.

Mnie śledztwo dwa razy trwało. Moje trwało może z miesiąc, a później było śledztwo Tadka Zakrzeskiego.

Jak mnie aresztowali i mego teścia, to nas na UB w Łomży na Nowogrodzkiej omyłkowo wsadzili do jednego karca - do celi wsadzili dopiero później - bo teść sie nazywał Olszewski, a ja Lipka. Karców było chyba dwa. Oni aresztowali duzo ludzi i te co sadzali po celach, to sie pogubili, dzięki temu to i teść by był siedział potem. Wszystkie cele byli zapełnione. Ja sie do nicego nie przyznawał tak jak i tu. Słyszałem jak teścia bili, bo ja siedział jak raz pod tym pokojem, gdzie go bili. No i raz w nocy teść przychodzi z tego śledztwa i mówi:

- Ty, ja pójde powiem, że to ja wszystko..., a tym nic nie winien i ciebie pusco, a ja posiedze. Ty młody, to... .

- A to nie gada nic, bo mnie i tak nie pusco! - krzyknąłem do niego. Młodego, to nigdy nie pusco. Niech sie wcale nie prziznaje, bo bedziem łoba siedzieć, bo juz Czesiek na mnie gada. Ja tam byłem i Czesiek staje mnie na łocy. No to co, mnie pusco? - A teść nie wiedział o tym wszystkim co sie działo u nas w domu, bo ja jemu nie gadał, bo jak jest sie w śledztwie, to nawet żonie sie nic nie gada. No i teść posłuchał sie mnie. Naraz wołajo teścia na górę. Przychodzi za pare minut i mówi:

- Wiesz co, pusco mnie do domu.

- Dlaczego?

- Zaczeli mnie bić, a przesed szef UB, popatrzył sie i mówi: To ten z Mężenina? Tego starego puśtta, bo tam baby zostali same z dziećmi, tego młodego wystarcy.

- Widzis, a zeby tak sie prziznał, to by siedział? - A dziadek tak sie cieszył, ale zeby ze mno nie siedział, to by było inaczej. On nie miał tych smykałów... . Cztery dni siedział, ale mówił, że jak go puścili z tego UB, to szed Franek Głębocki ulico - akurat był w Łomży - i chociaż dziadek [teść] jego kuzyn, szwagier był dla dziadka, to spojrział na dziadka i roześmiał sie. Nic sie nie odzywał, zadowolony był.

Jak teścia wypuscał ten z góry, to przised i patrzy: ja siedze [w tym samym karcu]. I mówi:

- To skórwysyny, oni ich wsadzili łobuch razem. Jakie to było śledztwo!? - ale tamten nakazał juz puścić teścia i do widzenia. I dziadek na tym skorzystał.

Na śledztwie cały czas lali. Brali tylko w nocy, nieraz trzy - cztery razy w nocy. W dzień nie brali nikogo. Przysiady kazali robić. Tam był taki stołek-taboret, odwrócony do góry nogami i przykręcony blatem do podłogi, to kazali siadać na nodze i bili. Najpierw to gumo bili, ale ja złapał za gume, to drugi odskoczył.

- To taaak? - sie zdziwił. Później drugi raz mnie zawołali i jak nie sięgno mnie lufo od karabinu i łomem po plecach, po krzyzu, to do dzisiaj trzy kręgi mam pogniecione [zmiażdżone]. Potem jeden rąbnoł lufo pistoletu w policzek, to do dziś szrama została. Nazwisk sledcych nie znam, ale bardzopodobnie byli to Żydy. Ale ja im i dawał jak mnie bili:

- To taak w Polsce sie robi, że brat brata bije? Jak byłem na Syberii, to jak Polak z Polakiem sie spotkał, to sie całowali, nie patrzyli skąd on je, a tutaj mordowanie idzie, bice.

- Zakrwawiony jestem cały ale gadam jem. To ten co pisał troche sie tremował, a te co bili, to nic. Specjalnie dobrali takich chłopów.

- Jesce przyjdzie i na was kolejka - ja mówie - ze i was będą tłukli.

- To będo i mas - i dalej tłucli mnie, jescze bardziej - A nam nic nie zrobis, my lejem i juz.
- Tak mnie mówi i co im zrobis. Wyzywajo od bandytów, ale lico sie inacej z człowiekiem, jak człowiek jest taki pewny i uparty. Nawet i łoni sie inacej lico z takim a za nic majo tego co gada. Oni go chwalo, ale później za nic majo. Ja spraktykował to w śledztwie. Jak u mnie w domu groził, ze strzeli do mnie, a potem - jak nic nie powiedział - łopuścił karabin, ja spojrział na niego, [i widzę] że on inacej mnie ocenil zaraz. Pewnie gdyby chciał mnie zabić, to by zabił, ale mu widocnie nie pasowało.

LZ =
Tadek Zakrzeski tez wlaz [w łapy UB] przez Czeška. Jak to było? Czesiek jest w Łomży na śledztwie, a tam siedzo te z febrów - taki febrowski, Drzydz sie nazywał, murarz, był w partyzantce, a później jego podrobili i wzięli do UB, i on im donosił. I Czesiek siedział w jego celi - tak gadał do mnie - przyszed z góry i mówi:

- Dajo mnie, to dajo...

- I mnie dajo - odezwał sie febrowski - ale ty sie trzymaj. Ja to im dużo rzeczy nie powiedział... .

- I ja nie powiedział - mówi Czesiek.

- a co?

- Tadek Zakrzeskich bywał [u Lipki], a ja nie powiedział. - Za godzine czasu wołajo Czeška!

- Ty, a co ty o Zakrzeskim nie gadał? - i lanie jemu. No, to skąd sie dowiedzieli.

- Takem sie wypowiedział koledze - mówi do mnie Czesiek. No i Czesiek przyznał sie, ale ubowce szukajo dwóch świadków. Zaraz Tadzka przywołali, ale Tadek sie nie przynaje.

- I tak ciebie osądzim - mowio do niego - dwóch świadkow znajdziem i dyche dostanies, boś dopiero przysed [z wieszienia]. - Pytajo sie Czeška:

- Kto był razem?

- Lipka był razem w stodole. - A mnie wołajo tylko na moje sledztwo, a ja nic nie mówie, ani ło Czešku, ani o Tadzku, ani o nicem, tylko o sobi, nic mnie nie obchodzi. Wołajo mnie:

- A Zakrzeski to co, nie był razem z wami?

- Nie.

- Znasz Zakrzeskiego?

- Znam. Sasiad mój. W stodole ja go nie widział. - Zara sobie psypomnis. Otwierajo drzwi i wychodzi Czesiek.

- Ty, toś Tadek razem z nami był - mówi do mnie.

- Ty sie łodcep cholero ode mnie - mówie - Ja zadnego Tadzka nie widział.

- Był? - pytajo sie jego znowu.

- Był, był - potwierdza Czesiek. Zabrali go.

- Podpisuje sie cy nie?

- Jak ja sie podpise, jak ja go nie widział - mówie do nich.

- On widział, żeś był razem.

- Mu sie w głowie pomieszalo - mówie do ubeka - on juz klepie tego co nie było wcale. Nie moge sie podpisac i juz. - To oni kilka razy wołali mnie na góre. I lanie.

- Panie - tłumace im - ja nie moge sie podpisac, bo on [Tadek] nie był. Ja do prokuratora chce. - Puścili mnie do prokuratora.

- Czego chcecie?

- Panie prokuratorze - mówie - Oni chco zeby ja świadcyl na tego cłowieka, a jego wcale nie widział, jak ja jego będe świadcyl?

- Dobrze, dobrze, widzieliście jego.

- Jebym widział, to bym podpisał, ale ja jego nie widział i nie moje sumienie na jego

gadać. - No i zaniechali mnie wreszcie pytać o Tacka. I tylko jeden Czesiek Łuba został na niego. Potem wolali go na świadki a Tadek chwycił go za gardziel przy tech ubowcach:

- A ty skórwysynu, ty mnie widział? Pretensje masz? - i dusi go, a to był chłop sztywny. Byłby go zadusił, ale ubowce zerwali się, odbroniłi i zabrali go zaraz. I później tak chyba pomyśleli: A może i Lipka ma i racje kiedy ten się nie przyznaje?

Później, kiedy Czesiek podpisał, przywieśli ich do Białegostoku, a tam wszystko partyzanci siedzą w więzieniu i Czeška chcą zabić, że wydawał ludzi, a w więzieniu kropno w łeb w nocy i koniec. On bardzo podobnie z płacem ukląk, że na sądzie się wyrzeknie. I wyrzek się na sądzie, ale sędzia mówi:

- Dlaczegoście tam przed prokuratorem mówili? Bili was, to trzeba było do prokuratora iść i powiedzieć, że was bijo a niesłusznie. - Jednak coś wiedział sędzia o tym. I Tackowi z przypuszczenia tylko półtora roku dali.

- Półtora roku to ja i na kiblu przesiedzę - powiedział Tadek. I do dziś dnia łon nie rozmawia z Czeškiem, chocia ten już słaby, a Czešek mówi na niego, że to Tadek wydał.

- Zebym był dostał dyche, to pasowało by mnie tylko powiesić w więzieniu - powiedział Tadek. Raz dostałem dyche, i drugi raz byłby, to jaki żywot byłby? Kiedy ja byłby na wolności? Nigdy.

Ja mówię do Czeška:

- Czesiek, po co ty gadał?

- Słuchaj, ja nie chciałem powiedzieć. Powiedziałem jako do kolegi, do tego Jębrowskiego. - Tak to jest w śledztwie.

Dostałem 5 lat. Pistolet znaleźli w stodole i chcieli mnie wpisać, że to mój, ale ja powiedział, że to nie mój. Targowali się długo. Później nareście został tak ni tu, ni tu. A żeby mnie go dopisali, to bym dostał dyche najmniej. Sie należy do organizacji, to też powiedziałem, że ni ma żadnej. To też zara trochę większy wyrok - wiadomo. Śledztwo trwało cały czas w Łomży, potem jak przewieśli do Białegostoku, to już nie. Jak mówili ludzie, to podobnie w 1945 r. i tu i tu robili śledztwo, a w 1949 r. to już trochę inaczej było.

Jakoś wtedy wybuchła wojna w Korei, no to już wszyscy więźniowie mówili:

- Już się kończy niedługo. - To tak który przysed pod cele z wyroku. To pytajo:

- Ile mas?

- Pięć niedziel palmowych - ten ma dziesięć, ten piętnaście, lata licyli na niedziele palmowe. No i mówi na to:

- My wszyscy razem wyjdziem i ten co ma piętnaście, i ten co ma pięć. Widzisz wojna jest w Korei. - Każdy się cieszył. A dla więźnia to było dużo, choć nie wyszedł, ale nadzieja była.

I tak popatrzeć, to chłopaki wszystkie żyli przyszłości, bo inaczej to by się załamał.

Pamiętam, że ze mno siedzieli: Modzelewski Stasiak ze wsi Łuby-Kiertany spod Miastkowa, z Łodzi siedział krawiec, to mnie uczył krawiectwa pod celo, jakeśmy mieli czas.

- Bedziem dłużej siedzieć, to ty wyjdziesz krawcem, tylko musisz jechać ze mno do Łodzi.

- On mnie polubił.

Po wyroku trafiłem pod łogólno cele. Tam siedzieli wtedy tacy sami jak wszyscy - partyzanci. U wszystkich głowy pogolone. Jak do Wronek mieli nas odwozić, to dali na łogólne cele na noc i chłopaki cało noc śpiewajo wszystkie partyzanckie piosenki. Zara zjawił się nacelnik i mówi:

- Dlaczego oni chałasujo tam? - No i zara przysed [strażnik] i mówi:

- Cisa musi być.

- Na co ty nam się zdał! - zaceli ksyceć arestowani - My dzisiaj jedziem i guzik nam zrobis - i cało noc śpiewali piosenki, jakie tylko kto wygarniał. I słysząc jak strażnik tłumaczy się:

- Ja jem nic nie mogę zrobić. Co ja im zrobię? Jak tam ze dwiestu chłopca.

- Ja wam tam wydam łopinie do Wronek dobro - zagroził naczelnik, ale my dalej śpiewamy.

L2
Powsadzali nas w wagony towarowe, ileś tam tych wagonów było, żołnierze dookoła, pozamykali nas no i zawieśli do Wronek, a tam od stacji do więzienia, to chyba z pół kilometra. Obstawili wojskiem wagony i wypuścili nas. Potem ustawili w cwórkach i gonio. Jak się idzie do tego centralnego więzienia, to jest taka ulicka. Tam stoi taka brama wielka jak ta nasza remiza, tylko wąska i pise takimi carnymi literami: Centralne Więzienia Karne. I ten łoficer mówi do nas:

- Tutaj wpuscaj, a stąd tylko wynos. Tu na swoich nogach nikt nie wychodzi. - Kazał nam uklęknąć, pocałować ziemię.

- Bo to łostatni raz oglądacie ziemię polsko. - Jedne chcieli klękać, drugie nie chcieli, się śmiejo. Brame roztworzyli i wpuscaj nas bramo dwójkami na plac. Na placu rozstawione so funkcjonariusze.

- Rozbierać się wszystko do naga! - pada rozkaz. A ze mno jechał z Modzel taki Skudoski, stary dziadek, sześćdziesiąt pare lat. To w więzieniu przyznał się, że to mój stryj, bo to teścia kuzyn i ja go troche bronił, bo go tam nieraz chcieli bić czy coś - jak to w więzieniu. To ja za nim obstawał, to on się mnie pilnował. No i wpadliśmy na ten plac, rozebraliśmy się do naga i rewizja, i przysiadu. No, co tam robić to rewizje, ale robio, naumyślnie.

- Na komende: raz, dwa, trzy oblec się [ubrać się]. - pada komenda, ale te raz, dwa, trzy to było migiem powiedziane, tak że ja zdążył ledwo kalesony założyć, a resta...? Dziadek ledwo założył jedno nogawke kalesonów.

- Biegiem - pokazali korytarz do centralnego więzienia. Dziadek się mnie pyta:

- Co ja mam robić?

- Pod pache reszte i idziem - no i to nogawke też pod pache wasadził i idziem, ja w kalesonach. Wpadamy w brame, a tam z jednej strony stoi z pasem i z drugiej, w szeregu stojo te funkcjonariusze więzienne i lejo tymi pasami. Ja patzre: przede mno lejo jednego, tłuko, to ja se dumał - pod drugich podlatuje, tamten się szykuje na mnie, a ten nie, to ja raz i w tył zwrot.

- Skurwysynu! Ja ciebie jesce popadne! - pogroził ten, co mu uciekłem spod pasa - ale juz poleciałem. Nie siegneli mnie. Teraz znowu na korytarzy pasy białe i carne, a strażnicy krzyco:

- Nie po carnym! - ktoś skrzył na białe - Nie po białym! - krzycy teraz strażnik. Wreście nie wiadomo po jakim koloze iść.

Wreście wpuścili nas pod cele. To takie pojedynki we Wronkach, ale że dużo więźniów, to sześciu nas było. Patrzym: taka szafka wisi, takie talerzyki płytkie, ale do czego te talerzyki i taka micha duza stoi na stole. Do czego to jest? Bez wizyterke co raz zagłada strażnik. Na obiad roztwierajo drzwi. Jakoś grochówke chyba dawali z konicyno biało, ale my nie wiemy co tam dać, bo tam jesce nie byliśmy. Talerzyki się nie nadajo do zupy, to my raz to miche podstawiamy, a to podobnie była micha do mycia. Zupe rozlewali take wysokie chłopy. Patrzy się jeden na drugiego i... lejo nam w to miche sześć porcji. My jo wzięli, postawili na stolecku, obsiedli dookoła i jemy, a ten bez wizyterke zagłada i się śmieje. Zjedliśmy z tej michy, ten [strażnik] roztworzył drzwi i pyta się:

- Co, wy jesce nie siedzieli tu w więzieniu?

- Nie.

- Jakie macie wyroki?

- Po pięć lat, po sześć.

- Ta miska to jest do mycia, a nie do jedzenia.

- To w cym mamy jeść - i pokazujemy na te talerze.

- A kto je wam włożył. Dostaniecie większe miski. Dawajcie. - mówi tak - musicie wybrać komendanta celi. U nas tak jest: jak wchodzi się do celi, to komendant melduje.

- Ale jak to wybierać?

12
12
- Ty będziesz komendantem celi - wskazał na mnie - i ja ci zaraz powiem. Będzie chodził wyższy funkcjonariusz, to musisz umieć się znaleźć. Ja roztwieram cele, a ty krzykniesz: bacność! Stajecie pod oknem wszyscy i meldujecie: obywatelu oddziałowy, cela numer..., stan sześciu więźniów. Zaraz ja przyjdę i sprawdzę. - No i zamknął drzwi, potem otworzył, ja mu zameldowałem.

- Dobra. W porządku. - Talerze nam zmienił. No i tam posiedzieliśmy tam z tydzień i wyganiają nas na spacer. Ręce do tyłu i pięć metry jeden od drugiego.

- Chodzić. - Ale u nas byli i chuligany pod celo. Jeden mały a drugi duży. Ten duży to jakiś dobry chuligan, bo mówi do tego małego:

- Daj mnie swoje spodnie, a ja ci dam swoje.

- Ale moje to za długie będą.

- To zawiń nogawki. - No i wziął tego małego spodnie i ma tylko do kolan, a dalej kalesony widać. I idziem bez pacierza. Wszedł szef więzienia, stoi i przygląda się, a oddziałowy nas gania.

- A tamten, to jakie spodnie dostał!? - krzycy naczelnik pokazując na tego dużego, a oddziałowy nic nie wie i krzycy:

- Zmienić mu spodnie! - Ale szef więzienia woła tego dużego:

12
- Chodź no tutaj. - On podchodzi do niego i mówi:

- Tak jest panie komendancie.

- Dlaczego nosis takie spod...?

- Tak jest panie komendancie.

- Dlaczego nie wymieni..?

- Tak jest panie komendancie! - Nie daje mu dokończyć za każdym razem.

- Dajcie mnie wręczcie coś powiedzieć! - wydziera się już na niego naczelnik

- Tak jest panie komendancie. - W końcu naczelnik machnął ręką i mówi:

- Macie zmienić mu ubranie. - Przyszedł do celi i się odmienili oba. Stażnik przychodzi z ubraniami i mówi:

- Kto mi tu ma ubranie?

- W porządku mamy. - No, nieraz tak zagrali strażnikom na nosie, że..., ale i oni nam grali na nerwach. Nieraz przyjdzie mówić:

12
- Brud u was w celi. - Wyjdziem na spacer, wracamy, a tu pełno wody. Nalał skubany. I co. Trzeba to wodę zbierać szmato. Drzwi byli na zawiasy, to tak się błyscili jak lustro. Więźniowie musieli czyścić co dzień. A nieraz jak mu się nie podobało, to jak był spacer, to on roztworzy dwadzieścia celi, stał na środku i krzycy:

12
- Spacer wystąp! - to wszystko miało wyskoczyć i stojeć pod ścianą [na korytarzu], a kto się spóźnił, to z powrotem. I tak ze trzy, ze cztery razy. To dla nas młodych, to było nic, ale który był stary, miał sześćdziesiąt parę lat, to miał się, a my tylko się śmieli. On nas mordował, a my stajemy i się śmieję.

- Ja was, skurwysyny, pośmieję - groził zły.

W celi ze mną siedział taki jeden student ze Szczecina. Tam była rozruba. Jakoś ruski żołnierz i kolejowy żołnierz się zadarli. Popili i ten Ruski zaczął strzelać do niego, i ten do niego. Niedaleko stało wojsko polskie i ruskie. Z tej draki ludzie za bruk rwali i tłukli się. No i studenci wyszli.

- Za coś dostał. - pytam się go.

- Bo wpadłem do klubu, tam Stalina wisiał. Ja wyrwał nogę ze stoła, powiedział: A ty

skurwysynu, ty jeste tu i rąbnołem go nogo na tej ścianie. No i mnie oskarżyli. - Dostał 2 i pół roku.

Posiedzieliśmy tam z pół roku i do kopalni nas. Kopalnia glin ogniotrwałych "Jaroszków". Tu pracowałem ze trzy lata, do wyjścia. Robota parszywa. Kopalnia odkryta, to jeszcze jak pogoda była, to jeszcze, ale jak zima, deszcz, to nieraz całem się zmokło. Te gliny my musieli ciąć i na wózki ładować. Stamtąd odsyłali jech, do huty. Ja chyba ze dwa lata, to nosiłem line z góry na dół. Na górze stojeli motory, wózki na dół spuszcali i na dole tory byli. Około torów cieli te gliny, rzucali na wózki i wyciągali je na górę. Tam sortowali, przychodzili wagony, przeładowywali i szło to na cały kraj.

Raz jak złapał mnie ischiasz, bo to miałem w śledztwie ten krzyż pobity, to ja z kopalni nie mógł przyjść, bo mnie i nogi i wszystko..., to mnie ledwo jakoś przyciągnęli i zabrali do szpitala we Wrocławiu. Tam na Klęczkowskiej był więzień centralny. Tam w szpitalu poleżałem. Lekarz powiedział:

- To nie wylecy pan prędko. To jest choroba przewlekła, ma pan krzyż uszkodzony... - Podlecyli mnie troche i z powrotem do kopalni. Dali mnie lżejszo robote, do kuźni mnie wzięli. A tam też lekka robota: młotem walić, ale to już oni liczyli lżejsza.

W 1952 r. wyszła amnestia, ale mnie nie obejmowała, mój artykuł, bo ja miał współpracę.

Jak Stalin zmarł to my stali na apelu, przez mikrofon nam mówili. Ogłosili żałobe, ale my tam żałoby nie patrzyli.

Na końcu, jak ja zachorował, to do szpitala jeździł raz na dwa miesiące taki doktor, wojskowy, kapitan i - ja tak nie mógł się ruszyć - i mówię:

- Panie doktorze, ja mam ten krzyż pobity na UB, teraz aby tylko troche mokro, coś i nie mogę chodzić.

- A na wolność nie idziecie?

- Amnestia mnie nie obejmuje.

- Ja zaraz pójdę do szefa, żeby was puścili na wolność, bo wy tutaj się nie wyleczycie.

- A on posłucha?

- Ja pójdę. - A to podobnie ten doktor to był mój jakiś dalszy kuzyn. Lipka się nazywał i pochodził ze wsi Lipki k. Ostrówka pod Warszawo. Tam działała kiedyś partyzantka Piłsudskiego, i tam pół wsi jest Lipków i wszystko kuzyni. No i już po amnestii zastosowali mnie ja. Rzekomo dojrżeli, że ja nie karany, czysto przeszłość... . I zastosowali mnie to amnestie, ale nie wpisali daty zwolnienia, bo to było już po amnestii i za ten okres co ja siedział po amnestii, to oni powinni mnie byli płacić, no to nie napisali mnie tej daty. Zwolnili mnie w lipcu 1953 r.

Dużo tych co było w partyzantce współpracowało z UB, bo im obiecywali wyjście na wolność tak jak "Cyganowi". Obiecywali, a później dostał kule w łeb. Nic go nie uratowało. Sam "Cygan" mówił do mnie, że miał cztery zabójstwa. On nie miał litości, i "Zbych" też nie miał litości. "Zbych" to taki był: jak dobry, to dobry, ale jak już podpadłeś, to koniec. Nie cackał się.

Mnie Chojnowiak z Duchen, jeszcze żyje opowiadał mnie - co to mieli robić ten napad na Łomże w 1944 r. - to mówił mnie:

- Przez Duchny idzie Heniek "Zbych" i jeste dwóch. Heniek w eleganckim, angielskim ubraniu, w berecie, automat na plecach, fest tak uszykowany i Heniek mówi tak:

- Furmanke dla nas. - No trzeba wieść. Zaprzęgiem konia i jade. Do Ratowa-Piotrowa. Tam jakaś stodoła stała. Pod to stodołę kazał mnie podjechać - mówi Chojnowiak. Ja podjeżdżam. Heniek wylaz z tej furmanki i mówi:

- Poczekaj, zara tu przyjdziem. - Roztwiera to stodołę, a tam pełno partyzantów. Cała

stodoła. Wychodzi jakiś dowódca i powiada do Heńka:

- Po cholereś ty tu tego chłopca przyprowadził. Jaki ty jesteś głupi. Nie mogłeś zsiąść tam za torem i przyjść? Teraz tego chłopca nie możem puścić. Tera tego chłopca Niemcy złapio i co? Dadzo mu w dupe i może powiedzieć, że my tu jesteśmy. I co będzie?

- To co - mówi Heniek.

- Aa - mówi ten drugi - trzeba go zabić, tu zakopiem, a wóz puścim i niech idzie. - Ale w oddziale byli chłopaki z Duchen i mówio:

- Słuchaj, on porządny chłop, to zabić go...?

- To my wszyscy zginiem! - rzucił się dowódca i sie targujo. Nareście jednak dał sie przekonać i zadecydował:

[z] - Puścić go. Tylko niech pan nie jedzie - zwrócił sie do mnie - drogami, jedź pan po polach. Leby pana Niemcy nie złapali, bo tu z Duchen pana kolegi gwarantujo. - No i puścili. Ja by nie miał pretesji, żeby oni mnie zabili - mówił Chojnowiak - przepadło, ale dzięki tym chłopakom z Duchen... . Ja sie umeczył, bo jechał po tych polach, alem dojechał, alem przeżył.

Tadek Zakrzewiak opowiadał mnie, że latem 1944 r. jak bili sie w Cerwonym Boru, to ich duzo nagineło, a kpt. "Biały", co tam był dowódco, to 50 m. od niego zginął. Tadek był w oddziale Heńka Jastrzębskiego i jego brata Janka. Zrazu dowodco był Grabowski, ale jego Niemcy zabili i wtedy dowódco był Janek. Opowiadał tak: My tu przy torach byli. Najpierw pokazało się trzech Niemców i ido tak. No to my, wszyscy z bronio, zaraz mówio: zabić ich, a "Biały" mówi: cicho, czekajta. Przez lornetke patrzy, i widzi, że za nimi idi juz Niemcy.

Lipka: Ale że oni [partyzanci] nie widzieli, że i z tyłu Niemcy ido? No i Tadek mówi: Niemcy puścili serie i ranili "Białego". Ukląk na kolana, jeszce przez lornetke popatrzył i mówi: jestem ciężko ranny - a druga seria poszła i "Biały" leży.

Lipka: zginął na samym początku.